

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 24 listopada 1946 r.

Nr 47 (104)

FRANCISZEK GIL

DOKOPIJEMY SIĘ POCZĄTKÓW TYSIĄCLECIA

Poznań, w listopadzie 1946 r.

Późna już jesień i ptaki umilkły pewno we Wrocławiu. Tu przelatują jeszcze czasem przez nawy zburzonych kościołów i gipsowi święci-inwalidzi beznadziejnie uśmiechają się do nich. Puste prezbiteria zarastają trawą. Odeszli ludzie, przyszyły ptaki. Niebo, prawdziwe niebo poprzez zwalone stropy po raz pierwszy przedarło się do mrocznych świątyń. Deszcz leje i rumowiska zakwitają zielenią.

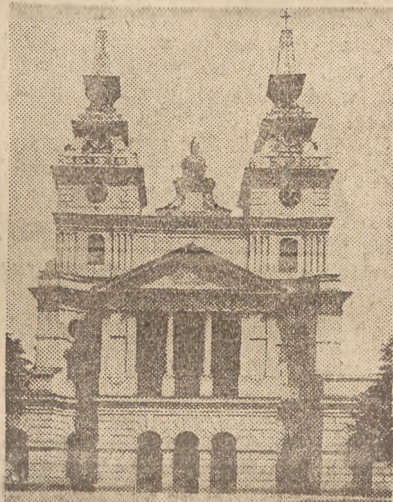
Dziwne, jak te same pory roku ciągną do tych samych miast!

Łato zeszło w Krakowie na tęsknocie za Wrocławiem, na tej samej zapylonej spiekocie, która w czerwcu przywitała nas w gruzach wrocławskiego śródmieścia. Uroczystości, na które zjechaliliśmy, co godzina przenosiły się gdzie indziej, — z teatru do auli uniwersyteckiej, z auli na Psie Pole, stąd do Hali Stuleci i w pierwszy raz poznany, wielkim jak Warszawa miście trudno było za nimi nadążyć. Chciało się być trochę sam na sam z przedziwnym miastem, w którym co krok spotykało się rzekę i most i występowało z obchodowego korowodu. Zieleń wody i skarp przybrzeżnych spotykała się tu z czerwienią skarp gotyku i jakieś nieustające wzruszenie po kilkakroć gnało na owe mosty.

Jedna tylko żywa ulica wiodła tędy na Świdnicę, ale i jej ruch toczył się w pustyni zwalonych domów.

W ulicach ciągnęło coś w otwarte na zawsze bramy, w urwane klatki schodowe, coraz głębiej i dalej wciągały piwniczne przejścia, oficyny i kładki przerzucone już przez kogoś nad zerwanymi stropami.

Kto był w takim mieście, wie, jak sugestywna jest architektura zniszczenia, jak wciągają zwaliska. Chęć grzebania się w pustyni rupiec, w tym wszystkim, co niegdyś było ludzkim obcowaniem, przesładowuje nienasycone. W podobny sposób wciągały pierwszych odkrywców umarłe miasta Azteków...



Fronton katedry przed zburzeniem. Fasadą przebudowaną przez Bonawenturę Solariego

Tak zabłąkany w zwaliskach niezwykłych dzielnic, napotkalem ptaki. Ptaki, kolorowe ptaki śpiewały we Wrocławiu.

Spłoszone milkły nagle w gąszczu liści i traw, łądyg i cegieł, kwiatów dzikich i pordzewiałych blach. Zieleń połączyła ogromne, ongiś poprzdzielane podwórza bloków. Wyrosła bujnie na papierzykach, na resztkach jedzenia, rozwalonych spżarnianych słoików, trupów i padliny. Śmiało, prosto pod korony obrastała nieliczne drzewa wewnętrznych ogródków, rzucała się na porzucone, gnijące materace, pogięte, pordzewiałe ściany wywalonych łóżek, kucharek, umywalek, jak nigdy buszowała po podwórzach i kamienicach, sła wszędzie, dokąd przez zwalone sklepienie po raz wtóry doszło światło.

I ptaki były tu śmielsze. Szybko przywykały do obecności człowieka i spokojnie śpiewały dalej we wrocławskich ogrodach, w głuchej ciszy resztek domów handlowych: „& Co”. Z gałęzi przelatywały na ściany, które lada chwila miały runąć i w ciszy urwanych klatek schodowych, w ciszy balkonów ostałkiem sił uczipionych ścian — wciąż śpiewały w swych nowych dzielnicach.

WROCLAWSKI ŚPIEW

Dziś rano przynurozek ściał zielone liście. Z mostu Bolesława Chrobrego widać Wrocław. Jest coś bliskiego w obliczu tych miast leżących nad brzegami nierozłączonych rzek. Coś bliźniaczego w odnogach tych rzek, w zieleni, w mostach, w wodach. I z Wyspy Tumskiej, z mostów nad Odrą widać Poznań. Wyszło stare koryto Warty między Chwaliszewem i Ostrowiem Tumskim, wyschły też odnogi Cybiny oblewające wokół Wyspę. Ale jeszcze plany Poznania z XVII wieku podobne są do dzisiejszych planów Wrocławia: obraz między przedmiejską Śródką i nadwarciańskimi Garbarami pocięty jest przez takie same zalewy i wody, rozczłonowany w takie same kępy i wyspy, jak Wrocław od Wyspy Tumskiej po most Lignicki i ulicę Uniwersytecką.

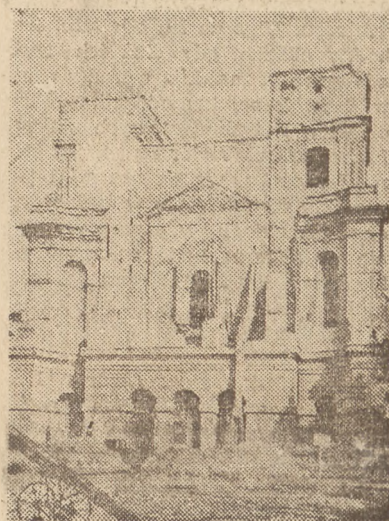
Oba miasta młodość swą spędziły na wędrowce z prawego na lewy brzeg rzeki. Najstarszy gród wrocławski mieścił się na Wyspie Tumskiej, obok miejsca, w którym stanął zamkowy kościół św. Marcina. Najstarsza katedra poznańska stała w mieście-podgrodziu, na Ostrowie Tumskim, podobnie jak najstarsza katedra wrocławska mieściła się na podgrodziu wrocławskiej Wyspy Tumskiej.

Ostrów Tumski w Poznaniu z Akademią Lubrańskiego jest dziś cichy i pusty, snują się tu tylko księża i konserwatorzy, ale zanim tam, na lewy brzeg Warty, przeniosło się wielkie dziś skupisko miejskie, tu, na Ostrowie Tumskim w ciągu pięciu wieków legło kolejno w gruzach i zostało zasypane ziemią sześć ówczesnych miast, sześć grodów noszących tę samą nazwę — Poznań. Od osiemego do połowy trzynastego wieku, w ciągu pięciuset lat, i powódzie, i wojny, i pożary pięć razy niszczyły osadę, która na ówczesne czasy i stosunki ludnościowe była wielkim miastem — stolicą.

I ludzie opuszczający Poznań unosili w oczach wszystko: ciepłe loggie i smukłą wieżę florenckiego ratusza, pałace Działyńskich i biblioteki Raczyńskich, tylko nie Ostrów Tumski. W ciągu dziewięciu wieków

ziemia podniosła się tu o siedem metrów i dobrze zakryła pierwotne miasto. Ostatnią niwelację przeprowadzili Prusacy, pierwszej dokonał po powodzi Bolesław Chrobry. W miejscu, gdzie król ów podejmował dwóch cesarzy rzymskich narodu niemieckiego, Ottona III i Henryka II, witał przybysza zwykły, piaski plac przedkatedralny, rozpięta się jak brzydka ropucha barokowa katedra z klasycystycznymi przybudówkami.

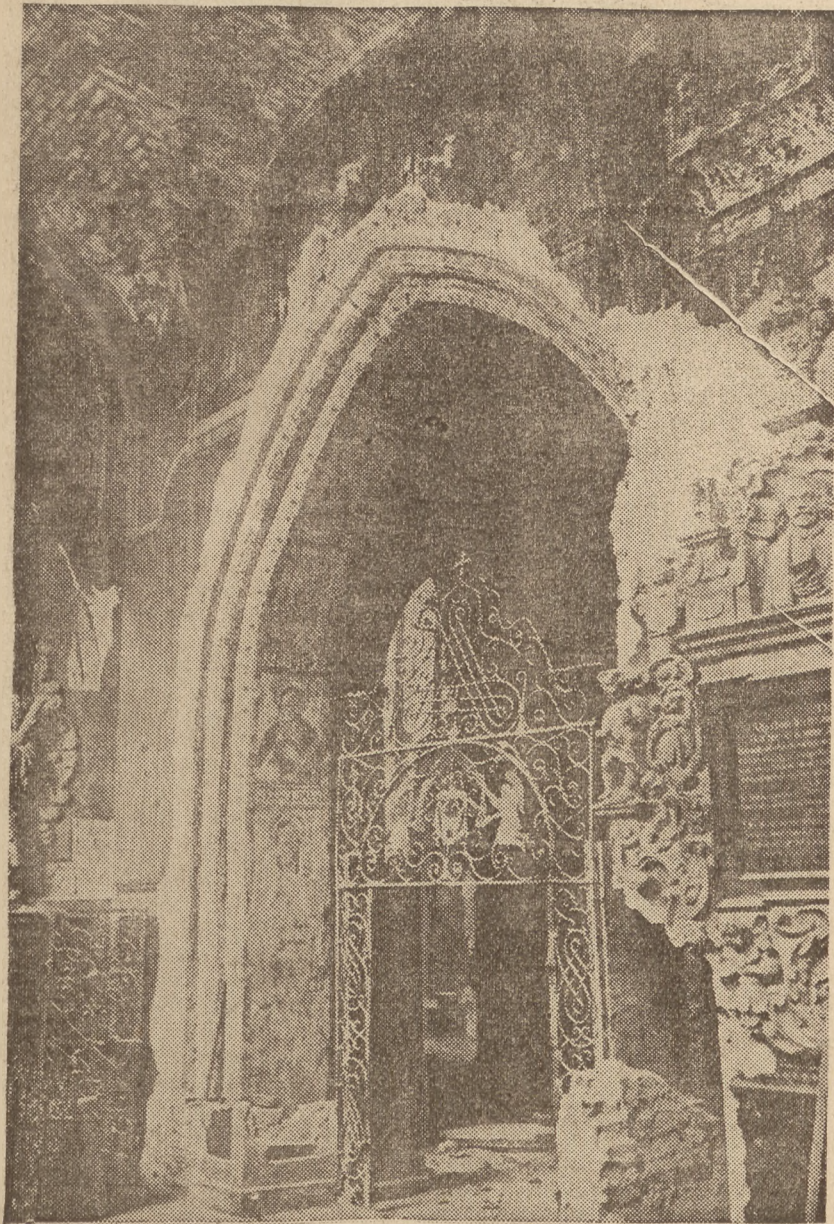
Wawel zaczyna się wyraźniej dopiero od Kazimierza Wielkiego, a naj-



Katedra w obecnym stanie odbudowy

okazalej od Jagiellonów; grodu polskiej protohistorii szukał człowiek w Poznaniu. Ale tu znów to, co najwcześniejsze — było gotyckie; kościółek na Ostrowie i Psalteria; jedne zaledwie za Śródką mury — romańskie. Stary Poznań najobficiej i najokazalej ustroił się w renesans, w barok a w końcu w kolumny pseudoklasycystycznych frontonów. Ostrów Tumski, z prochami pierwszych Piastów w jakiejś monachijskiej czy późnoreńskiej złotej kaplicy, drażnił i rozczarowywał. Na Hradczynie i w Krakowie dokopano się przynajmniej romańszczyzny. W Poznaniu, w drodze do Złotej Kaplicy, tysiące wycieczek z całej Polski rok w rok najspokojniej udeptywały ziemię o parę zaledwie metrów w głąb kryjącą dworzyszczę Mieszka i Chrobrego i niemal do ostatnich lat przed wojną nikt nie pomógł poznańskim prehistorykom w przekopaniu Ostrowia Tumskiego. Nie chciano ryzykować gotówki.

W Poznaniu najdłużej broniła się Cytadela. Im bliżej Cytadeli, tym więcej zniszczeń. Ostrów Tumski do ostatka znajdował się w zasięgu ognia. Spaliły się dachy katedry, huragan wojny zerwał trzy wieże nad chórem kanoniczym i dwie frontowe, zdruzgotał tymparon klasycystycznej przybudówki frontonu i zwałił szczyt fasady i kulę ziemską ukoronowaną papieską tiarą. Tamtej jesieni ktoś tam samotnie



Odkryty łuk gotyckiej kaplicy Szoldrskich z polichromią z r. 1616, przedstawiającą 12 apostołów. U dołu, po obu stronach kraty, resztki odbitego muru, który zamulił łuk gotycki. Z boku widoczna część pomnika Gnińskiego



Polichromia odkrytego łuku gotyckiego kaplicy Szoldrskich (lewa połowa łuku). U góry data: 1616

łaził między wieżami i latał jakieś dziury. Tego roku w głąb katedry pobiegły szyny kolejki, a pod kilofami robotników wali się wszystko to, co przed gotycką fasadą dawnej katedry wystawił architekt królewski, major wojsk polskich, Bonawentura Solari.

Nie ma już kolumn balkonu, na których wspierał się tympanon. Rośnie zyspisko przed katedrą, coraz niżej schodzą rusztowania. Coraz dalej po placu katedralnym toczy się gruz odbijanego klasycyzmu i coraz pełniej odsłania się schodząca skarpani ku ziemi gotycka fasada. W katedrze uśmiecha się docent prehistorii i mówi: „Zdejmujemy z niej sukienki...”

ZAMULONA KATEDRA

We wieńcu kaplic i w nawach bazyliki stukają młotki. Robotnicy łażą po rusztowaniach i stemplują świeżo odkute łuki. Stary murarz kiwa na chłopca — „pokaż panu, co my odkryli tych dwunastu apostołów”. Chłopiec prowadzi mnie do bocznej, zamkniętej rzeźbionymi odrzwiami kaplicy. Na posadzce leży dwanaście zaproszonych, szarych jak popiół trumien. Wieka kilku unoszą się lekko. W jednej truchło pontyfikalnych szat i długa broda bez twarzy, w drugiej, pozaginanej, razem zebrane luźne kości. Obok jeszcze jedna rozbita trumna, drewniana, z przegniłym obiciem. Chłopiec pokazuje najodporniejszą: — „To tego św. Wojciecha”, a murarz dobroliwie, bez żywszego zainteresowania tłumaczy po wyjściu: — „Panie, to tam nie żadni apostołowie, to my powyciągali ze sklepow... tych biskupów i kanoników...”

W całym prezbiterium jeden wielki dół, umocniony rusztowaniami. Dziewczęta ostrożnie zbierają ziemię łopatami i wysypują coraz wyżej, na coraz wyższy pokład desek aż do stojącego na szynach wagonika. W głębi, na dnie dołu widoczne fragmenty murów.

Dumne katedry! Z cierpliwym, kamiennym spokojem wieściły wieczność i myśmy wierzyli w ich tysiąc lat. Dla pokolenia, które nie pamiętało tamtej wojny i nie znało zmiany czasu, stare katedry oznaczały niezmienną. Zresztą w czytankach o tamtej wojnie była tylko jedna zburzona katedra — w Reims, i tylko jedno spalone miasto — Kalisz. W nocie pożarów i w pierwsze powojenne lato łatania ścian nie było czasu na zagładanie do świątyni. A było co widzieć. Stosy karabinów u stóp Chrystusów i trupy gnijące na opadłych skrzydłach anielich. W rok później, kiedy życie zajęło nawet gruzy, czyjeś ręce poukładały już odbite skrzydła aniołów w kryptach. Wejścia jednych katedr zamurowały do innych czasów, a bramy innych rozwarły dla torów kolejek. Teraz dopiero, kiedy wszystko inne zaczęło już w miastach żyć, spostrzeżliśmy świętych z kikutami. Ujrzelśmy, że z pół urwanych rąk, które ongiś trzymały ewangelie, sterczą porzewiałe druty.

Poznańską katedrę wypalił pożar. W ogniu niszczała ostatnia sukienka wnętrza. Poodpadała malatura, odpadł tynk i sztukaterie włoskich rzemieślników. W ścianach nawy głównej odsłonięte zostały dawne gotyckie kształty półkolistych arkad katedry, w ścianie frontowej, między wieżami, zamurowane, wielkie gotyckie okno. Gotyk ukazał się w nawach bocznych. Młotki i kilofy kuli teraz zawzięcie po tych śladach, dzień w dzień szły za rwącymi się profilami gotyckich filarów, to znów za łukami odkutych arkad tryforijnych.

Wszędzie w górze, na wszystkich rusztowaniach, w każdym ruchu młotka widziało się to jedno założenie: dotrzeć do gotyku!

Ale tu, w dole?

Od razu od wejścia łączyło się rusztowanie prezbiterialnego wykopu z rusztowaniami operającymi się o stare groby lub nawet fundamenty.

Młody człowiek w studenckiej czapce, rysujący coś za stolikiem nad dołem i wzięty przeze mnie za studenta architektury, okazał się prehistorykiem. Już przed dziesięciu laty zaczynał swą praktykę w Biskupinie i jeździł tam tego roku, już jako adiunkt katedry, na „jubileusz”. W katedrze poznańskiej prowadzone są wykopaliska. Odkrycie dwóch murów, biegnących na głębokości około trzech metrów pod

posadzką, oto pierwszy najpoważniejszy wynik prac. Szerokie na 1.40 m, zbudowane są ze zwykłych polnych kamieni, połączonych wapienną zaprawą. Lico ich jest wyłożone płasko łupanymi kamieniami o sześciennych formach. Tak samo łupanymi kamieniami wyłożone są ściany zewnętrzne murów rotundy Feliksa i Adaukt. Byłaby to więc katedra przedromańska, świątynia z czasów Mieszka I, a budowniczym jej byłby pierwszy, misyjny jeszcze biskup Polski, Jordan. Ale świątynia w rzucie poziomym jest prostokątna. Odkryte mury nie były chyba murami magistralnymi. Kierunek wschód-zachód w budownictwie świątyni był w owych wiekach zbyt dominujący, mury zaś biegły poprzecznie do nawy głównej tumbu. W drugim wykopie, w nawie bocznej, w fundamencie gotyckiej kate-

dry znaleziono część ciosanego kamienia, którego pochodzenie jest niewątpliwie romańskie. Należy tedy także szukać murów katedry romańskiej. Jeden z murów idzie w ścianę wykopu prosto pod filar nawy głównej. Trzeba iść za nim.

Hipotezy, hipotezy — dniami i tygodniami krąży się tu wśród przypuszczeń. Dziewczęta delikatnie zbierają ziemię warstewką po warstewce. Stare hipotezy umierają, rodzą się nowe. Docent znów odpowiada uśmiechem na niecierpliwość. „Nie panu nie mogę powiedzieć. Dzisiaj coś powiem, a za trzy dni wszystko może się zupełnie zmienić...”

NAD CZASEM ZAMUROWANYCH TRYFORIÓW I PODWYŻSZONYCH OŁTARZY

Tu dopiero, w niedawnej „stolicy” prymasów polskich, w poznań-

skiej katedrze widać dokładnie jak czas najgorętszych tumultów, czas najzacieklejszych rozpraw z innowiercami i czas, w którym w Polsce najwięcej „wyklepano pacierzy”, zaciemniał także swoje własne, uznane świątynie, jak zamuroвывал je i zamulał, jak odbierał im światło i powietrze.

Łatwo to powiedzieć — dotrzeć do gotyku! Bez większego trudu można jeszcze odbić rozmaite barokowe pomniki i tablice, rozety, wywijasy i wyrzuczenia. Miejsca dla nich używała bowiem cegła, którą zamulano ostrołukowe arkady naw bocznych. Gotycki filar wspierający oba łuki, nad dwoma wejściami do kaplicy, poszerzał się wbrew naturze na bok, stał się — ścianą. Pustkę nowopowstałej ściany zakrywano tablicami z płaskorzeźbą, z rozetami, aniołkami i trupimi główkami.

Przykładem będzie tu pomnik Gnińskiego w kaplicy Szołdrskich. Po odmuleniu obu wejść do kaplicy z obmurówki, ozdoby pomnika, a nawet części tablicy, znalazły się bez zaplecza. Pomnik wisi na odsłoniętym gotyckim filarze i musi zostać usunięty.

Z płyty grobowca tego to biskupa Szołdrskiego odczytujemy, że kiedy „ani Kijów ani Przemyśl pozyskać go nie mogli, katedra poznańska pozyskała, gdy zrujnowana i brudna potrzebowała szczerzego oblubienia”. On to „pożarem uszkodzoną i prawie zniszczoną odbudował za swego panowania, naprawił fundamenty, wykończył sklepienie, postawił pięć wież, upiększył posadzką, organami, obrazami, wielkim ołtarzem i kaplicą, wyposażył złotem, srebrem i wszelkiego rodzaju kosztownymi sprzętami, zwiększoną liczbą kapłanów, muzyką, fundacjami i aniwersarzami”. Ten, co „żył jako najtroskliwszy o ozdobę domu Bożego pasterz”, pamiętał także o „dostojnej kapitule poznańskiej”, którą „obdarzył hojnie od swoich poprzedników zapisem Wielichowa, czynszami i darowizną całego swego majątku”. Wiemy teraz dokładnie, kto najobficiej zamulił gotycką katedrę, wiemy, że umarł w roku 1650, po czternastu latach działalności na stolicy biskupiej w Poznaniu.

Dziwny to był wiek, co zamuroвывал gotyckie okna i powiększał ołtarze, co z lekkim sercem zagrzebywał jasną polichromię strzelistych łuków pod cegłą i wapno półkoliste go baroku, co, w ciasnym już i tak przejściach, ustawiał jeszcze napuszone portale ze sztucznego marmuru.

Łatwo jeszcze usunąć te niepotrzebne barokowe portale i nietrudno nawet odbić owe tablice z wywijasami. Ale w katedrze są filary nieobudowane, filary, które w swym wnętrzu nie kryją tajemnic, które od gruntu wzniosły, czy odbudował barok. Naga dziś cegła ścian wskazuje wiernie miejsca, w których dawna konstrukcja gotycka organicznie przetrwała w barok, albo w to, co ostentacyjnie zostawili nam architekci królewscy, Szreger i Solari, a z nimi ojciec Hoene-Wrońskiego, królewsko-polski budowniczy Hoene.

Młotek goni za odkutym profilem tryforijnej galeryjki i w połowie drogi natrafia na zwykłą konstrukcyjną ścianę nawy głównej.

Na pierwszy rzut oka wnętrze tumbu wygląda jak zamulone przez półokrągłe obudówki. Wydaje się, że nie potrzeba tu architekta ani konserwatora, że wystarczy przez te pięć naw przepuścić jakiś mocny prąd wody czy powietrza, jakiś odczynnik spreparowany w seminarium historii sztuki, albo po prostu tylko wskazać robotnikom — „poodbijajcie to wszystko”. Pożar ostatniej wojny strawił już przecież jedną, wierzchnią warstwę tego mułu. Ale w murach jest wiele miejsc, w których ślad gotyckiej katedry znika jak kamień pod wodą. Cegła gotyku zabiega się nagle o cegłę późnego baroku, spleta się z cegłą klasycyzmu.

Oto miejsca, w których sklejo no części nieraz kilku różnych korpusów katedry. Coś tam amputowano, potem dodano zaprawę, potem dobudowano jakiś wzmacniający łuczek czy przyporę, zatynkowano i zrosło się. Żeby znaleźć miejsca, w których wspierały się na filarach łuki gotyckiego stropu nawy głównej, trzeba kuć wysoko w ścianach. Ale wtedy runie obecny strop. Trzeba więc wplerv zdjąć ten strop, a potem dopiero kuć.

Historyk sztuki, inżynier-architekt i inżynier kierownik wydziału technicznego Dyrekcji Odbudowy codziennie odbywają wielogodzinne konsultacje nad ciężko operowaną katedrą. Historyk sztuki zapala się i nieraz miałby niepoohamowaną chęć poszperać w ciele operowanej. Chciałby, nie oglądając się na stan chorej, zerwać od razu wszystkie bandażę, odkryć wszystkie szczegóły budowy. Kiedy katedra stanie znów na nogi, kiedy ubiorą ją odświętnie, zapalą w niej światła i poczną odprawiać nabożeństwa, będzie już za późno.

O, taka gruntowna operacja tyściatniej katedry to wielka okazja. Konserwator Kępiński odkrywa

ARTUR SANDAUER

LITERATURA FATALISTYCZNA

Jak śmierć Voltaire'a, Victora Hugo czy France'a, tak kondukt żałobny, który w 1946 roku odprowadzał Pawła Valéry, zamykał epokę. U nas twórcy tej miary noszą tytuł wieśców lub Królów-Duchów; w racjonalistycznej Francji zwie się ich „la suprême fleur du génie latin” — najwyższym wykwittem łacińskiego geniuszu. Ulga po ich odejściu, swobodny oddech, gdy cień ich znika z horyzontu, znajdują wyraz u nas — w bezzwłocznej kanonizacji, we Francji — w natychmiastowych atakach. Ledwo zmarł Victor Hugo, już poezja francuska, wyzwolona spod jego nacisku, rozprysła się w tysiącnych eksperymentach wiersza wolnego; nie zdążył jeszcze odejść France, gdy klarowny dotąd styl francuski zmienił od nowych, z głębi podświadomości czerpanych, składników. Ledwo znikł Valéry...

Przez ćwierćwiecze czarował on epokę powolnością swych gestów; nie była to obecność, lecz jak gdyby rozlane w atmosferze równomiernej i obojętnej światło, spojrzenie płynące ze wszystkich stron równocześnie. Nie sceptyczne, uniwersalne raczej: nieufny wobec siebie samego, Valéry nigdy nie zajmując stanowiska, nigdy nie ma zdania. Bada tylko metody; rozstrzygnięcia go nie interesują. Jeśli nawet skłania się ku rzeczywistości, by wypełnić jej żądania, to czyni to z gestem dość sobiepańskim, by zaznaczyć, że stoi ponad wykonywaną funkcją. Jest zawsze poza...

Postawa, która doznała załamania w okresie okupacji. Valéry'owskie „trwanie ponad zamętem” i „częstkowe zaangażowanie” mogło uchodzić za pochwałę bierności. Toteż wraz z tym magiem światłości odeszła w ciemność i postawa czysto kontemplacyjna. Cała dzisiejsza literatura — nawet egzystencjalistyczna — wzywa do wyboru i — by mówić bliższym nam językiem — do walki. Lecz rodzaj tego wyboru, jak i treść tej walki pozostają nieokreślone. Podobnie, jak słysząc zdanie „To zdolny człowiek”, nie możemy nie zagadnąć: „Do czego?”, tak, słysząc słowo „walka”, pytamy machinalnie: „O co?” W Paryżu wychodzi doskonały zresztą dziennik egzystencjalistów „Le combat” (Walka) z podtytułem „Od oporu do rewolucji”. W piśmie tym antymieszczańskim, ale i antymarksistowskim, słowo „rewolucja” pozostaje gestem.

Pisałem już kiedyś indziej o poeciach workowatych, które w pewnych okresach do tego stopnia stają się popularne, że rozdzimają się poza swe naturalne granice i obejmują nawet, co z właściwym ich sensem jest sprzeczne. Do takich należy w chwili obecnej — gdy wszystkie kierunki, nawet najbardziej jej wrogie, starają się podsyć pod jej nazwę — demokracja; nawet półfascystowski francuski PRL podaje się za partię demokratyczną; do takich u nas słowo „realizm”: pamiętamy jak w zeszlorzonych dyskusjach literackich nawet Swift i Rabelais zostali pasowani na realistów.

We Francji moda wydzignęła słowa: „engagement” (zaangażowanie) i jego sobowtór: „parti pris” (opowiedzenie się). Wpływ manii

partyzanckiej, która sroży się we Francji, tudzież potrzeba oczyszczenia z zarzutu kolaboracji wyrażają się nie tylko w nagrodach literackich, przyznawanych nietęgim skądinąd książkom, jak Gary'ego „Wychoowanie europejskie”, nie tylko w wielu, doskonałych zresztą, filmach okupacyjnych, lecz także w owej modzie na decyzję i samookreślenie, jaka panuje obecnie we Francji: tak np. jeden z najbardziej utalentowanych poetów młodego pokolenia, Francis Ponge, zbiór poematów, ściśle związanych z kierunkiem fenomenologicznym, tytułuje: „Parti pris des choses” (Zdecydowanie na rzecz).

Zamiarem Ponge'a jest stworzyć nowy spis i opis rzeczy, katalog wszechświata, rodzaj dwudziestowiecznej „Genezis” czy też Lukrecjuszowej „De natura rerum”, odbudować w sobie kamień, powietrze, wodę, roślinę, ich niepowtarzalną i jedyną materię, ujrzeć je takimi, jakie są same w sobie, oderwane od swych celowych i przyczynowych związków. W ten sposób wydobywa Ponge dziwność i pierwszność świata.

Podobnie jak poezja Ponge'a w materii, tak bohaterowie współczesnej powieści francuskiej czy amerykańskiej są zaangażowani bez wyjścia w świat, bezradni wobec przerażającego ich i niepojętego dla nich losu. Fatum, które zrodziło starożytną tragedię, dziś przybrało nazwę sytuacji życiowej. Człowiek jest nie panem, lecz przedmiotem manewrujących nim absurdałnych sił. W znanej komitej powieści Alberta Camusa „L'Etranger” bohater przeżywa swój los jako coś obcego mu i narzuconego: stąd tytuł. Powieść rozpoczyna się szeregiem opowiedzianych w pierwszej osobie i niepowiązanych na pozór wypadków: bohater uczestniczy w pogrzebie matki, która zmarła w przytułku, po czym idzie z przygodną towarzyszką do kina itd. Przypadkowo popełnia zbrodnię, której motywu sam nie zna. Lecz, gdy staje przed sądem, cały ten, dla niego dowolny i nieciągły zbiór wypadków w oczach prokuratora nabiera sensu, staje się dowodem premedytacji i morderczych instynktów; odanie np. matki do przytułku lub nawiązanie w dzień po jej śmierci stosunków z kobietą jest poważnym obciążeniem. Między niepowiązanymi dla bohatera wypadkami prokurator stwarza łańcuch przyczynowy, który decyduje o jego losie.

Czysto zewnętrzna i nie uznająca motywacji psychologicznej technika powieściowa Camusa zbliża ją do amerykańskiego behavioryzmu. Ignorując stany duchowe i problemy indywidualne, cała w akcji i w dialogu, wyzbyta komentarzy i analiz oraz owej autorskiej wszechwiedzy, która wie o bohaterach więcej niż oni sami o sobie i daje gotowy schemat ich charakterów, powieść zachodnia degraduje autora z roli twórcy i niejako boga powieściowych postaci do ich obserwatora. Schodząc z dawnego piedestału, musi się on wmlęszać między swych bohaterów jako ich fotograf i podpatrywacz, obserwując z nich to tylko i gęsty. Tym samym powieść staje

się bezosobowa: kolejne pozycje kamery zastępują dawne uniwersalne oko autorskiej opatrności.

Nowa powieść pozbawiona jest wszelkich pretensyj do psychologicznej głębi. Człowiek, określony tu wyłącznie swą zewnętrzną sytuacją, jest zamienny: każdy inny, postawiony na jego miejscu, zachowałby się tak samo. Nie ma tu owej reszty psychicznej, która by przelewała się, jak w dawniejszej powieści, poza brzegi akcji i domagała się autorskich wyjaśnień. Nie znajdziemy tu owych tak częstych w naszej powieści zwrotów: „Wydawało mu się, że ją kocha, choć nie kochał jej w istocie”; przeciwstawienie bowiem „wydawania się” i „istoty” pozbawione jest wszelkiego sensu w tym świecie jednopłaszczyznowym, gdzie rzeczywistością jest, co za rzeczywistość uważamy. Utożsamia się pozór i prawda psychiczna; człowiek jest tylko jeden: jakim się objawia. Jeśli bohaterowi zdarzy się zeigąć, to autor — zamiast uprzedzić o tym czytelnika — wydobędzie z samego kontekstu słów, z ich zająknięć, niedopowiedzeń i przemówień — ich kłamliwość. Opisy powieściowe nie przekraczają tu nigdy możliwości doznawania postaci działających: co bardziej podobnego do niekończących się ary operowych „Uciekajmy, uciekajmy, uciekajmy — póki czas”, niż owe krajobrazy, przeżywane przez bohaterów obarczonych stu innymi, bardziej istotnymi, kłopotami? Znika dysproporcja między banalnością bohaterów a wspaniałością dekoracji, rażąca nas w powieści naturalistycznej. Autor widzi to, co może widzieć bohater.

Równoległe z tym realistycznym fatalizmem rozwija się na Zachodzie drugi: mistyczny. Problem, postawiony w obu, jest ten sam: bezradność zrzuconego w bezsensowny dlań świat człowieka. Lecz gdy w pierwszym wypadku absurd pojmowany jest negatywnie — jako brak powiązania między poszczególnymi zdarzeniami, to w drugim, w owej literaturze mistycznej, której protoplastą jest Kafka, występuje jako siła pozytywna. Miejsce zdetronizowanego Boga zajmuje królujący w centrum wszechświata — Bezsens. Wygląda to, jak gdybyśmy z rzeczywistości widzieli tylko jej podszewkę, której dopiero prawa, na zawsze dla nas niewidzialna strona mogłaby dać ciałę i regularny rysunek. Ow perwersyjny mistycyzm Kafki znalazł we Francji naśladowców, zwłaszcza wśród surrealistów (Jean Marce nac, Charles Audin).

Poza marksistowską, która, jedyną, zachowuje wiarę w człowieka — literatura francuska zdaje się obecnie przechodzić okres tragiczny. Z klęski postawy valéry'owskiej wynika świadomość, że niesposób umieścić się w pozycji nadzędnej wobec świata, że, żyjąc, należy wybrać. Lecz wybór pozostaje nieokreślony, hierarchia wartości — zachwiana, świat — niezrozumiały. Straszliwy robot rozpętanej materii przerasta siły czarnoksięskiego ucznia...

Artur Sandauer

tryforia — małe trójkątowe arkady między arkadami i oknami ścian nawy głównej. Jakże zdobna lekkość! Widać to dobrze na wizerunkach wnętrza katedralnych Amiens, Reims, Nantes. Ciężar ścian magistralnych świątyni rozprasza się i znika w trzech kondygnacjach strzelistych luków. Za trójkątowymi arkadami biegnie ponad nawami bocznymi, jak w klasycznym gotyku, galerijka. Po odkrytej obecnie galerijce tumu poznańskiego włóczyli się podobno w czasie nabożeństwa gapię i znad ołtarza zaglądali w twarze modlących się wiernych. Biskup ówczesny (chyba tenże Szolndrski) rozgniewał się, galerijkę kazał zamurować i wzniesł wysoki ołtarz.

Dziwny to był wiek, który zamuroвывал tryforia i podwyższał ołtarz.

LANCETEM UCZONEGO I SZPADLEM PREHISTORYKA

Znów mamy je tedy, jedyne dziś w Polsce, a podobno i w północnej Europie. W głębi zaś przekopywanej ziemi, u stóp fundamentów gotyckiej katedry, mur katedry przedromańskiej. Czyli poznańską świątynię Feliksa i Adaukta, ale nie rotundę. Dotychczas z tego oto muru, który widzimy tu w wykopie, o licu wykładanym płasko łupanym kamieniem, mieliśmy świątynię tylko o kształcie koncentrycznym: na Wawelu i na Ostrowiu Lednickim, na tym drugim o formach bardziej rozwiniętych. W Poznaniu okazało się, że przedromańskie świątynie w Polsce budowano także w kształcie prostokąta. Znów jedyny zabytek.

Nie tedy dziwnego, że inżynier Smigaj z Dyrekcji Odbudowy musi hamować zapał prehistoryka Hencla i historyka sztuki Kępińskiego — trawionych żądzą wypatroszenia „do ostatka” i tak już lekko pochyłonej katedry. Gipsowe plomby przyniosły pierwsze ostrzeżenie: nieznaczne ruchy fundamentów. Jeśli runie jakaś część budowli, odpowiadać będą inżynier budownictwa i inżynier z wydziału technicznego. Schodzą więc codziennie z konserwatorem w podziemia, drapią się na rusztowania i wspólnie opukują chorą. Ilekroć konserwator odkryje coś nowego i chce ciąć dalej w miejscu odkrycia, architekt i inżynier techniczny badają, czy katedra w tym miejscu cięcie wytrzyma. Czasem konserwator musi się zatrzymać w połowie odkuwania jakiegoś szczegółu. Dalej mu iść nie wolno, bo runąłby inny, sąsiedni element. Trzeba zabezpieczać i czekać drugiej fazy piac, kiedy przebudowa obejmie całość konstrukcji. Tak o szczegółach codziennej pracy robotników nad przebudową zabytku przetrząsa miłość konserwatora do piękna i trzeźwe, odpowiedzialne obliczenie inżyniera, któremu, choć czuje tak samo na widok coraz nowych profili cegły, wolno myśleć tylko bryłą, nośnością i kątem.

O rozstrzygnięciu niejednego subtelnego problemu decyduje też często głos obecnego z historią katedry delegata kapituły lub proboszcza katedralnego. Dogląda on chorej niemal codziennie.

Dziś jednak nad tymi wszystkimi ludźmi ogromną przewagę ma konserwator. On odmula katedrę i zabezpiecza resztki jej pierwszych sukien.

SMUKŁA I LEKKA

Nie widać tego jeszcze na zewnątrz, ale widać już we wnętrzu. Każdy odkuty luk gotycki unosi katedrę w górę. Płaska, pięciu nawami szeroko rozsiadła katedra poznańska wyrośnie, stanie się smukłą i lekką. Posadzka zostanie obniżona o jeden metr: wróci do poziomu posadzki katedry gotyckiej, dokładnie widocznej w ścianach przekopu. Gotycki strop pójdzie także w górę i katedra, wysoka dziś we wnętrzu na dwadzieścia dwa metry, urośnie do dwudziestu czterech. Elewacja jest opracowywana według jedynej, jaka się dochowała, fotografii starej, gotyckiej katedry — sztychu Brauna i Hogenberga z 1618 roku. Zabytkowe budownictwo historycznego Ostrowia Tumskiego będzie mniej więcej zharmonizowane. Obok gotyckiego kościółka Panny Marii, z wieku XV, Psalterii biskupa Lubrańskiego, stanie znowu smukła katedra gotycka z połowy XIV wieku.

Korpus odkrytej katedry gotyckiej uważano z początku za pozostałość z wieku XV, kiedy to w roku 1431, w okresie rozkwitu sztuki gotyckiej w Polsce, miało rozpocząć gruntowną przebudowę katedry poznańskiej na wzór gnieźnieńskiej. Teraz, rozpoczynając prace nad przebudową poszerzono jeszcze raz w aktach kapituły i okazało się, że odkryty gotyk pochodzi z połowy XIV wieku.

Niesmak i zawód, jaki musiała budzić poprzeczona klasycyzmem, napuszczona barokowa świątynia w prawdopodobnym miejscu katedry pierwszego misyjnego biskupa Polski Jordana, nie obudzą się więcej w przyszłości na Ostrowie Tumskim.

MIŁOŚĆ UCZONYCH

A pod posadzką? W wykopie prehistoryka? Na tę okazję, na tę jedyną dziś w kraju poznańską „rotundę” o kształcie prostokąta mogliśmy także czekać wieki. Prehistoryk także odmula. Ale gdy dla historyka sztuki odgarnięty muł jest bez wartości, prehistoryk pilnie przesiewa, pilnie przypatruje się każdej warstewce ziemi.

Na osobnym kartonie dokreduje się coraz niżej przekopane warstwy przekroju i, przed wyjęciem jakiegokolwiek kamienia czy przedmiotu z danej warstwy ziemi, w pierwej notuje się na planie 1:10 miejsce ich wieloletniego pobytu. Kości i ceramikę składa się w oddzielnej skrzyni.

W przeciwnym krańcu wykopu, blisko ołtarza głównego, dziewczęta dotarły do cienkiej warstwy popiołu. Popiół jest sypki i miękki, czyli to, co tu spłonęło, nie zawierało części kostnych ani tłuszczów. Nie było tu świątyni pogańskiej, w której składano bogu na ofiarę zwierzęta. Taki skamieniały popiół odkryto właśnie w czasie prac wykopaliskowych w Gnieźnie. Czyżby ten popiół był resztką spalonej, pierwszej drewnianej świątyni Mieszka? A może lada chwila natrafimy tu na groby pierwszych książąt piastowskich...

Tak dzień w dzień prehistoryk czyta w warstwach ziemi i wraz z konserwatorem analizuje położenie każdego kamienia. W wykopie jest także jego dział: spopielone szczątki starych świątyni, mury katedr sprzed tysiąca prawie lat. Obaj śledzą, dokąd biegną te mury, z jaką częścią fundamentów obecnej katedry mo-

gą się łączyć i decydują, w którym kierunku kopać. Jest to pierwsza w Polsce współpraca prehistoryka z historykiem sztuki w prehistorycznym wykopie.

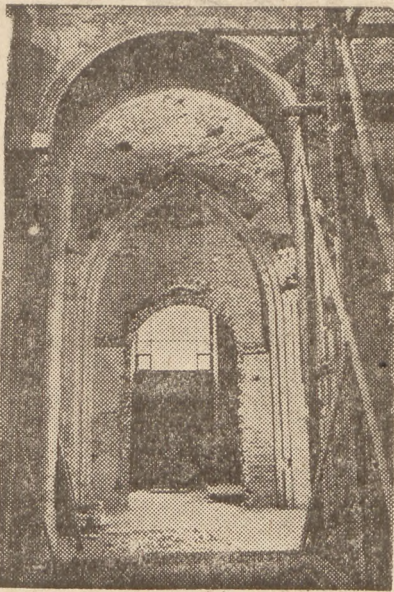
Mury katedry chronią od słońca jesieni. Ale w ogródku kościoła Panny Marii, gdzie dokonano wykopu, w miejscu kryjącym zamek pierwszych Piastów, student rysował na zimnie i na deszczu. Odkryty mur prawdopodobnego zamku książęcego skręcał prosto pod mury kościółka. Trzeba było iść za nim i teraz prehistoryk pierwszy porozumiewał się z konserwatorem.

Późnymi popołudniami często spotykałem na mostach nad Wartą tych ludzi. Adiunkt Szafranski, od wczesnego rana siedzący w wykopach, długo jeszcze po pracy chodził ze mną po Garbarach i zapalony mówił mi o swych biskupińskich wyliczkach i o prehistorii. Zdarzało się, na tych mostach, że prehistoryk idący z katedry spotykał konserwatora idącego z Dyrekcji Odbudowy i że obaj zawracali do pustego już tumu, do wykopów i luków, bo tego dnia natrafiono znów na coś w ziemi i za świeża trzeba było się naradzić i ustalić ze strzegącym całości konserwatorem szczegóły pracy dnia jutrzejszego.

Idąc nieraz za nimi, uczyłem się tej jesieni na Ostrowie Tumskim szanować złożoną i niczym niezastąpioną pracę uczonych.

ROK 1966

Jadąc do Poznania siedem lat temu, jechało się na kresy. Dalej był Zbąszyń albo tylko głusz wielkopolskiej prowincji. Dziś zachodnią granicą województwa poznańskiego jest Odra, którą, jako naszą zachodnią granicę, starał się utrzymać nasz pierwszy książę. Józef Kisielewski przypomniał to w swej „Ziemni gromadzącej prochy”. Pierwszy polityczny gest, na jakim „historia przychwytywa” powstającą Polskę, to boje Mieszka z Lutykami o Pomorze Zachodnie. Widukind notuje klęskę Mieszka w roku 963. Koncepcja Odry jest, jak powiada Kisielewski, koncepcją rodzającą się w Polsce. W trzy lata później przyjęliśmy



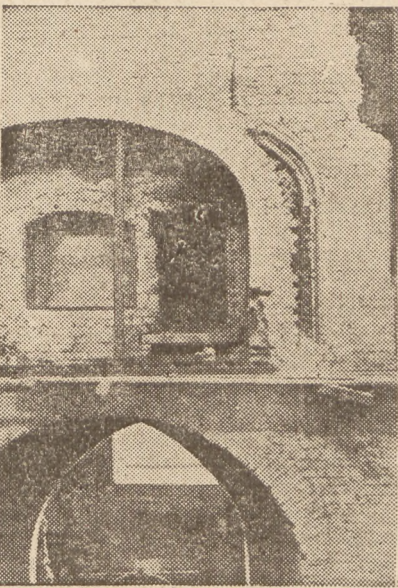
Na pierwszym planie barokowy luk nawy głównej (północnej, lewej ściany); na drugim — odkute zarysy (widoczne profilowania na lukach) zamurowanego luku gotyckiego — wejście do kaplicy św. Józefa — dawnej kruchy północnej

chrzest i rok 963 zagubił się w blasku pierwszego roku chrześcijańskiej cywilizacji, jak zagubił się rok inny, 967, kiedy Mieszko znów wyruszał na Pomorze i zadaje tym razem klęskę wojskom Lutyków i Wołynian, dowodzoną przez Wichmana. Docieramy do tysiąca lat pisanej historii.

Siedem lat temu łączyły Poznań ze światem trzy drogi: na Gdynię, Warszawę i Katowice. Na zachodzie była tylko prowincja, tylko drogi w powiaty. Dziś zyskał Poznań trzy nowe dalekie szlaki na Szczecin, Słubice i Wrocław. Z Gdańska i Olsztyna jedzie się do Wrocławia przez Poznań, ze Szczecina wraca się do Katowic i Krakowa przez Poznań, i przez Poznań jedzie się do Szczecina z Warszawy. I jak dawniej przez Poznań wiedzie droga na Berlin i Słubice. Poznań jest naturalną stolicą naszego Zachodu; stąd Mieszko wyruszał walczyć o ziemię, o których dziś mówimy „Odzyskane”, i chyba nie w Krakowie będziemy obchodzić tysiąclecie naszej hi-

storii. Kraków nie był stolicą pierwszych Piastów.

Wojna niewiele zostawiła nam zabytków. W gruzach leży wysokie katedry, zabytkowe pomniki i portale, wypaliły się i runęły Stare Miasta naszych miast. W Poznaniu, na Ostrowie Tumskim, udeptyjemy dalej ziemię kryjącą dworzyszczę Mieszka i Bolesława. Polska na Wawelu zaznacza ich pamięć zaledwie paroma kamieniami, gdy tu mamy olbrzymi profil przysypanego książęcego grodu. Prowadzono tu już prace wykopaliskowe w 1938 roku. W paru miejscach, na głębokości kilku metrów odkryto części wałów obronnych grodu i podgrodzia. Wał grodu o kamienno-drewnianej konstrukcji, szeroki u podstawy na 20 m, był jak na ówczesne budownictwo obronne potężną fortyfikacją i świadczy o ważności osady. Tak mogła być broniona tylko siedziba księcia, tylko stolica. Nasza prehistoria miała po raz pierwszy możliwość przekopania siedziby książęcej. Dotychczas grzebano tylko w osadach, których ludność stanowili rze-



Jedno z przesł galerijki tryforijnej w prezbiterium katedry

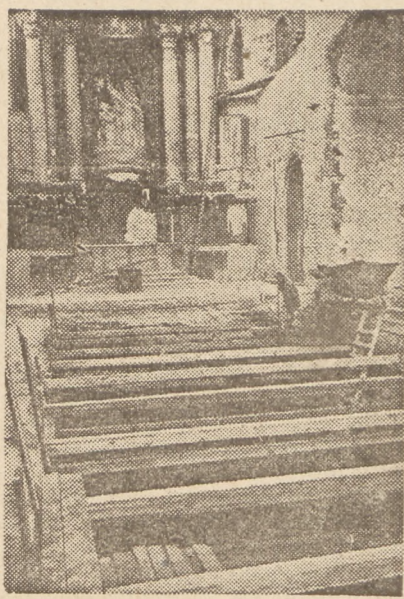
mieślnicy lub rycerze, a w Gnieźnie nie ukończono prac. Stan zachowania wałów wskazywał na dobre zachowanie resztek zamku we wnętrzu. Po raz pierwszy mogliśmy się przekonać o stanie kultury materialnej naszych pierwszych władców, o stopniu jej rodzimoci i ewentualnych wpływach obcych. Było to ważne, bo jak powiada prof. Tymieniecki, „to co dochowuje się materialnie, nie może być wytworem niczyjej fantazji, jak to się często zdarza ze szczegółami przechowywanymi przez ustną tradycję”. Mogliśmy zdobyć ważne przyczynki do historii stosunków społecznych i wewnętrzno-politycznych, określić czy w owym czasie była jeszcze spójność szczepu, czy też były już tylko różnice wewnętrzne. Wiele mogła zyskać historia sztuki.

Brakowało jeszcze czterdziestu tysięcy złotych. Ale konserwatorzy się pokłócili, jeden naopowiadał prezydentowi miasta, że to, co odkopuje drugi, nie ma wartości i kiedy tamten przyszedł po pieniądze, prezydent przywitał go słowami: „Panie, co pan mówi, przecież tam nie ma zabytków...” „Wszystko zasypało, a Niemcy urządzili przed katedrą basen przeciwpożarowy.

Dziś prace na Ostrowie Tumskim finansuje Ministerstwo Kultury i Sztuki. Ale kiedy pytamy uczonego o koszt robót, uraz dawnej sytuacji społecznej nauki działa: prosi, żeby nie publikować sumy, mimo że miesięczny budżet prac nie przekracza wartości 30 par złotych z podbiciem, na wolnym rynku. U ludzi nyszących bardzo „gospodarczo”, suma ta mogłaby wywołać protest.

Zbyt szybko zapominają się u nas, że na wschód przed odbierającymi życie wojskami niemieckimi szła zawsze niemiecka nauka z wiśnią teorią powstania naszego państwa.

Poznańska katedra otrzymała w ciągu przebudowy swoją kryptę Leonarda, podziemne mauzoleum kryjące odkopane resztki przedromańskiej katedry. Czy w chwili, kiedy wielkim nakładem kosztów przebudowuje się katedrę poznańską, kiedy tak pieczołowicie odgrzebuje się szczątki pierwszej naszej metropolii kościelnej, nie powinno się także za-



Prezbiterium katedry poznańskiej — miejsce odkrycia remanentów przedromańskiej katedry

jąc odkopaniem naszej pierwszej metropolii świeckiej?

Winną powstać jakaś koncepcja zabezpieczenia i przechowania grodu po odkopaniu go w formie dostępnej dla publiczności, koncepcja budowy jakiegoś naturalnego muzeum. Będzie wiele trudności, wynikających ze współczesnej zabudowy Ostrowia. Cóż tu jednak mówić o trudnościach związanych z zabezpieczeniem i udostępnieniem grodu dla zwiedzających, skoro wyspa nie jest w ogóle przekopana, jak je planować, skoro, poza kilku zapowiadającymi bogate złoża wyspy przekopami, nie wiemy dokładnie, co posiadamy.

Urbaniści poznańscy projektują cofnięcie Warty w stare koryto i połączenie Cybiny dawnymi odnogami z owym korytem. Ostrow Tumski stanie się znowu rzeczywistą, ze wszystkich stron oblaną wyspą, jak był nią jeszcze w XVII wieku. Czyż ziemia tej wyspy, kryjąca tak cenne pomniki naszej prehistorii, miałaby pozostać nienaruszona? Rok 1966 będzie niewątpliwie uroczyste obchodzone w katedrze. Tysiąclecie naszej historii winno się upamiętnić budową jakiegoś mauzoleum, które objęłoby chociaż niewielką część naszej ówczesnej metropolii politycznej.

Ale o odkopaniu pierwszej stolicy Polski myślą na razie tylko prehistorycy poznańscy.

Franciszek Gil

W najbliższych dniach ukaże się podwójny numer 6-7

„MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ”

czasopisma naukowego, wydawanego przez grupę profesorów i działaczy kulturalnych w Łodzi.

Na treść numeru składają się następujące artykuły: Dr Józef Chalasiński, prof. UL — Tworzenie legendy i naukowe zadania historii; Dr Kazimierz Ajdukiewicz, prof. UP — O tak zwanym neopozytywizmie; Dr Jan Szczepański — Interpretacja i rozumienie ludzkiego zachowania; Dr Stefan Jedrychowski, min. Zeglugi i Handlu Zagr. — Polityka gospodarcza Polski w dziedzinie handlu zagranicznego; Mgr Janusz Jeżewski — ZSRR jako potęga przemysłowa; Dr Kazimierz Wyka, prof. UJ — Czas jako element konstrukcyjny powieści; Dr Jerzy Teissler, prof. Sorbony — Mechanizm ewolucji.

Poza tym numer zawiera bogaty dział kronik i recenzji. „Myśli Współczesne” jest do nabycia we wszystkich księgarniach „Książki” i „Czytelnika” oraz we wszystkich stoiskach „Czytelnika” na dworcach kolejowych. 282

Ukaż się nr 3

organu

Żydowskiej Partii Robotniczej

„Poalej Sjon” lewica

„PRZEŁOM”

W numerze m. in.:

Posel dr A. Berman: Trzy orientacje Iguis: W obliczu wyborów

Palestyńska Liga Przyjaźni ze Związkiem Radzieckim

Dr E. Feuczman: Wyrok

Dr D. Gruszczyński: Złudzenia

J. Peterseil: Plan podziału Palestyny

Lewica robotnicza solidaryzuje się z walką narodu żydowskiego

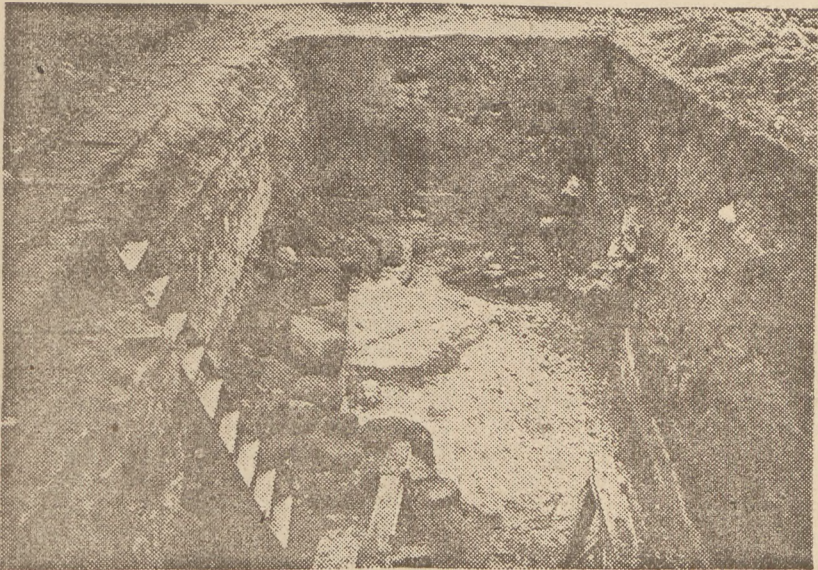
Mgr H. Wasser: Archiwum Dra Ringelbluma

M. Berland: Walka (fragment pamiętnika)

Z ruchu podziemnego. „Głos z otchłani”. Wiersze Racheli Korn

Cena 5 zł 12 stron Cena 5 zł

DR



Wykop przeprowadzony przy kościółku Najśw. Marii Panny. W dole, na lewo, fragment fundamentów zamku książęcego (?) sprzed XII w. Na prawo palenisko domu mieszkalnego

KAZIMIERZ BRANDYS

PRZYJACIELE Z „KUŹNI MŁODYCH”

Nazywam ich przyjaciółmi. Ilekroć spotykamy się po latach, szeroko otwieramy ramiona. Ogarnia nas wzruszenie, że tyle na świecie się zmieniło, a my trzymamy się jakoby. Przepędziła sprawa, której mieliśmy służyć, rozwił się czas, który powołał do życia naszą grupkę — trwało najmniej przewidziane: sympatia ludzka i związki wspomnień.

Kiedy schodzimy się przypadkiem, zawsze usiłujemy się w końcu pocieszyć, że nasza szkolna przegrana nie poszła całkiem na marne. Wylicza się wtedy nazwiska, które wypłynęły, i ludzi, którzy znów są w czołówce. Okazuje się, że między nimi ten i ów jest spośród nas. Przychodził do redakcji na Zamek, lub do późniejszej koło Wyztek na Krakowskim. Albo przyszedł do nas w samym końcu, młodszy o parę lat. Parę lat znaczyło w tej historii wiele. Była to historia krótka. Od początku do końca nie liczyła więcej niż lat pięć.

Po prostu — fragment w „robocie młodzieżowej”. Tej sanacyjnej roboty wśród młodzieży zawdzięczamy bądź co bądź naszą przyjaźń. Przez redakcję na Zamku i na Krakowskim przewinęła się reprezentacja pokolenia 1914—1920. Trzeba było pięciu lat, aby odrzec ze złudzeń ową gromadkę, powołaną na świat w innych pięciu latach. Złudzeń było tam sporo. W tych czasach, przed Ozonem i sojuszem z Falangą, sanacja szukała narybku wśród dzieci postępu; dopiero później zwróciła wzrok na dzieci wsteczności. Jeśli w pierwszym wypadku poniosła klęskę, stało się to z przyczyn wyjawionych fałszerstw. W drugim — katastrofa była integralna: zawalił się aparat i treść; obóz rozspadł się od ciosu wymierzzonego przez ramię, w którym szukał oparcia. Przez fałszyw.

Przyjaciele z „Kuźni Młodych” spotkali się wówczas na pozycjach bojowych Kutna, Warszawy, Rożewa. Nazywało się to obroną Ojczyzny. Ale wielu z nich w słowie „ojczyzna” widziało więcej niż pejzaż i rodzinny dom. Wynagradzali sobie tą obroną oszustwo, które niegdyś napisało im krw. Ostatnia przegrana była szczerą i pozbawioną fałszu: ich kule breniły nie tylko granic. Walczyli o ideę wolności, w którą uwierzyli w szkole. Walczyli z faszyzmem; z faszyzmem, któremu niedawno chcieli złożyć w ofierze ich samych. Rok 1939 był zwycięstwem przyjaciół z Kuźni Młodych. A jeśli nie wszystkich, to tych przynajmniej, którzy odpadli przed metą Ozonu.

Bardzo mi trudno określić tę grupkę inaczej niż według imion, zalet i słabości, czy wreszcie wspomnień, jakie zostały mi po każdym z osobna. Pamiętam, iż jeden z nich wydawał nam się tajemniczy i tragiczny, że inny chciał wstąpić do klasztoru, ów kochał się zbyt często, tamten miał skłóconą i pełną przesądów rodzinę. A przecież łączyło coś nas niewątpliwie. Połączył nas jakiś wspólny, chwilowy rytym na krótkim skreśle. Może nadto podobieństwo naszej sytuacji społecznej. Trudno — powtarzam — wyznaczyć mi dzisiaj funkcje pozaosobiste tej gromadki, która zapewne nie przejdzie do historii, a którą znam tak dobrze i w której sam żyłem.

Wychowano ich w niechęci do endecji. Krawcem pamięci sięgali za bóstwa pierwszego Prezydenta. Niektórzy pamiętali rok 1920. Był dla nich czynny w rodzaju ostatniej bitwy stoczonej przez Pierwszą Brygadę: ten sam wódz, ten sam kierunek natarcia. Jeśli byli dziećmi postępowej inteligencji, młodość ich rodziców otarła się o rok 1905. Jeśli rodzice ich byli urzędnikami — nieraz zawdzięczali swój urząd ludziom, którzy w owym roku rzucali bomby. Synowie posiadaczy — a byli i tacy między nimi — pamiętali rok 1926. Był to przecież rok, gdy część bogatego mieszczaństwa i bogatej wsi, nie związana ideologicznie z Narodową Demokracją, czuła słuchała ech z Sulejówka. Rozbicie partyjne, sejmowadztwo groziły „anarchią wewnętrzną” i osłabieniem na zewnątrz. Anarchia — to byłby wpust do ruchu robotniczego. Osłabienie na zewnątrz

— groźba infiltracji od wschodu. Któż mógł przywrócić ład, jeśli nie ten, co połowę życia strawił na walce ze wschodem i właśnie opuszczał polski czerwony tramwaj?

Chcąc więc rozważyć skład społeczno-polityczny gromadki młodych przyjaciół, o tym wszystkim należy pamiętać. Była to, przynajmniej, sprawa niezbyt prosta. Każdy mógł tu znaleźć potwierdzenie swych domowych tradycji. Nieraz zresztą sprzecznym. 16-letni radykał znajdował związki zawodowe i legendę bezdąską. Państwowiec — hasła pracy twórczej i mit wodza znał Styru i Wisły. Zachowawca — Nieswież i mocarstwo. Bezpartyjny — blok bezpartyjnej współpracy. — Wszystkiego było tam w bród. Ze nie zdawali sobie sprawy z rozbieżności tych postaw i z niebezpieczeństw ich sprzecznych konsekwencji — przyczyną była młodość. Ludzono ich przecie, iż rok 1905 i 1914, 1920 i 26 — to prosta linia rozwoju narodowej świadomości. Starano się potem włączyć do tej linii rok Brześć i rok Berezy. Ale wówczas niektórzy z nich byli już mądrzejsi.

Prócz sprawy młodości, były tam jednak i inne, które wiązały nas z sobą. Bo jeśli skład naszej grupy nie był jednorodny, jeśli przybyliśmy z tak różnych nieraz środowisk, to można by spytać: dobrze, ale czemu wśród was brakło właśnie „ich”? Ich — synów proletariatu, przyjaciół z robotniczych i chłopskich warstw, o których pisało się tak wiele w kolorowych zeszytach „Kuźni Młodych”. Kiedy przeglądałam w pamięci twarze chłopców i dziewcząt z owych czasów, kiedy raz jeszcze odzwiercałam ze wspomnień ten solidarny zespół, z którym tyle łączy mnie dni — nie znajduję w nim właśnie „tamtych”. I mimo, że pisało wśród nas wiersze o Julianie Blachowskim, który zabił Boussaka, o robotniczych strajkach, o robotniczej Woli i Grzybowie — nie było ich między nami. Sądę, że nie zastanawialiśmy się nad tym. Sądę więcej: iż fakt, że nie myśleliśmy o tym, sam w sobie stanowił osiągnięcie, sukces w grze, w której my byliśmy stawką.

Kto pamięta sanacyjną szkołę, wie, jak się sprawy miały. Zazwyczaj wokół polonisty — postępowca zbierała się gromadka zdolnych uczniów, którzy nie byli ulubieńcami prefekta. Tych młodych ludzi cechował wstręt do endecji, pogarda dla typu psychicznego, który nazywał się „endek”. Podkreślam — dla typu psychicznego raczej niż dla ideologii. Był to wstręt dzieci postępu do klerikalnej pokory i bogoojęzyznanego słownictwa; obrzydzenie, jakie odczuwa wolny od przesądów dla tego, kto się od nich nie pragnie wyzwolić. Ze starych walk rewolucyjnych, z okresu, gdy naród wystąpił do boju, pozostał ów ślad psychologiczny, antypatia, uraz — nie tyle w stosunku do „panów magnatów”, bo tych nie omieszkało pozyskać, ile do mieszczańskości dmowszczyzny, z jej nieufnym oporem wobec legendy legionowej. Ten osobisty spadek miał być przekazany najmłodszym. Sanacja miała tu do wykonania zadanie dość delikatne: przy faktycznym zatarciu różnic ideologicznych, trzeba było zaszczerpić fikcyjną nienawiść; stare zadrażnienia, których

realne przyczyny wygasły, należało przedłużać w płaszczyźnie nerwowej. Sytuacja, podkreślam, była delikatna: program społeczny endecji nie mógł już stanowić terenu obstrzału, bo był równie antyludowy, jak dorebek rządów piłsudczyzny. Lepiej było nie tykać tej wątpliwej materii; bezpieczniej było wyciągać stare zwady, raz jeszcze piętnować dawną ugodość wobec caratu, niewiadomszczyznę, klerikalizm. Nie groziło to niczym, przeciwnie: stwarzało iluzję, że przepaść istnieje nadal, angażowało uczuciowo, odwracało wzrok od podobieństw, które narastały coraz jawniej w polityce wewnętrznej, zwłaszcza w stosunku do ruchu robotniczego i do radykalnego ruchu wsi. Na wszelki wypadek i bez ryzyka puszczano również sztuczną mgłę w kolorze czerwonym: na użytek spadkobierców dyskutowano Montwiła, Odrzeję, Grzybów, X pawilon, Barykę, szklane domy, stare przemówienia Piłsudskiego z okresu przed białą-amarantowym przystankiem. To wszystko było przeznaczone dla nich: dla przyjaciół z „Kuźni”, ze „Straży”, z „Legionu”, z „Filarecji”.

To wszystko jednak nie mogłoby ich zaspokoić, gdyby nie stał za tym człowiek, którego przeszłość, gest, siła osobista tak mocno działały na naszą wyobraźnię. Człowiek, którego indywidualność miała wymiar tak bujny, że potrafiła przesłonić wielu oczom istotne siły, jakie go wiodły po polskim trakcie międzywojennym. Niejednemu umiał narzucić złudzenie nadziedności swej roli w układzie rzeczywistych sił społeczno-politycznych. Brutalny sukces w rozgrywkach partyjnych wykorzystał z psychologicznym mistrzostwem: odciął się od nich, sprawił, że widziano w nim ponadpartyjną misję opatrności, romantyczne wcielenie dziejów, które w szarym mundurze przyszło od borów litewskich, aby czynić Polskę, Osobowość Piłsudskiego miała kontur tak wydatny, tak sugestywny, że często nawet przeciwnicy dopatrywali się w błędach regimenu jego osobistych fantazji, kapryszów, ans, rozdrażnień; w pakcie z III Rzeszą nie dostrzegano innej logiki, niż starą urazę „Ziuka” do Rosji z okresu walk z caratem. Rozbijanie jednoci robotniczej było w oczach wielu po prostu złośliwą facecją wobec dawnych towarzyszy spod czerwonego sztandaru. Niechęć do reformy rolnej — romantycznym przywiązaniem do tradycji polskiego dworu. Brześć — chwilowym uniesieniem. Gest, sceniczność tej postaci przesłaniały nieraz jej istotną funkcję polityczną. Ten dawny bojowiec lewicy powołał do życia „Lewiatana” i przysłał na pakt niesławski — ale równocześnie stworzył małowinne państwo, w którym rejentami byli dawni zesłańcy sybirscy, eks-socjaliści, czasem z mitrą w herbie. Dla wielu to drugie było ważniejsze niż pierwsze.

Dla wielu, a więc dla tych przede wszystkim, których interesem klasowym obóz sanacji nie zagrażał: dla części ziemiaństwa nie związanej atmosferą psychiczną z endecją, dla odłamu zamożnego chłopstwa, dla postępowych warstw mieszczańskich, łącznie z elitą inteligentką, obcą sprawie klas pracujących. Z wię-

szości tych środowisk wywodzili się moi przyjaciele z redakcji szkolnego pisma, której ofiarowano lokal w skrzydle zamku pod okiem „szarych emineńcy” z kancelarii cywilnej, a potem w oficynie pałacu na Krakowskim, przylegającej do kościoła Wyztek. Była to grupka wiernych synów legionowej legendy. W Piłsudskim sprawdzało im się wszystko, w czym wyrosli: strofy „Beniowskiego”, szum borów „Pana Tadeusza”, szczęk żelaza „Trylogii”, bogata przygoda „Popiołów”. Postawiano się skrzętnie, aby w „legendzie Komendanta” znalazły również potwierdzenie echa innych lektur: „Trybuny Ludów” i „Przedwiośnia”. Prawdę faktów oceniali słowami, gesty, anegdoty, kracząc tak licznie — legenda podtrzymywana po mistrzowsku. Prawda faktów zresztą działała się na dalszych planach: na robotniczych przedmieściach, w halach fabrycznych, w czworakach bezrolnych, w drewnianych szopach Ahnopolu. Nasza redakcja była w sercu miasta, położona na pięknej wstępie łączącej Zamek z Belwederem.

Przyjaciół z „Kuźni” łączyła więc, jak mówię, niechęć postępowców w stosunku do endecji i uczuciowe związanie z legendą jej dawnego przeciwnika. Obydwa węzły były irracjonalne. Pamiętam szkolną akademię w Teatrze Wielkim w dniu 11 listopada, gdy w czasie żywego obrazu o „Komendancie i Kasztance” endecy puścili ławiający gaz. Prezydent z małżonką, ministrowie i wojskowi musieli opuścić widownię przed końcem przedstawienia. Wtedy Andrzej W., syn adwokata, piłsudczyk, intelektualista i zakwasek na poetę, płakał prawdziwymi łzami i ścisnął pięści: „To oni, psia krewo! endeckie śmierzące świniństwo, endeckie gówno, macie, psia krewo, patrzcie!” Dział twierdził, że było to zdarzenie irracjonalne: mój przyjaciel był konserwatystą, indyferentem politycznym; klasowo i ideologicznie nie go w gruncie nie dzieliło od narodowców, poza antysentymentem. To zaś, co pociągało go do Piłsudskiego, również nie było ideologia; nie było niczym rozumowym, ani umotywowanym politycznie. Na dobrą sprawę mógłby kochać endecków a nienawidzić Piłsudskiego, albo uwielbiać zarówno ich, jak i jego. A jednak ten wypadek nie był sporadyczny. Podobne zdarzały się często w jednej klasie gimnazjum, wśród chłopców i dziewcząt. Motywacja tych faktów jest dziś dla mnie jasna: sanacyjni wychowawcy zdolali osiągnąć ów trudny potrójny sukces, że młodzi radykali, wyrosli w pogłoskach „krwawych śród”, dali się zwieść nadzieją ludowej reformy, która miała wynikać z walki o władzę dwóch antyludowych stronnictw; że nadto inni, obojętni, nieświadomi dali kredyt fikcyjnej zasadzie przepaści, ideologicznej czy moralnej przepaści, która miała istnieć między jednym wstecznictwem a drugim wstecznictwem. Ze wreszcie, co najważniejsze, zarówno pierwsi jak i drudzy z młodych przyjaciół uwierzyli, iż stanowią samodzielną grupę ideologiczną o wspólnych zadaniach, o jednym dla wszystkich programie społecznym, o wiążącym wszystkich ze sobą poglądzie na świat. Ten sukces, ten magiczny sukces nie byłby, rzecz prosta, mo-

żliwy, gdyby nie żył wśród tej gromadki zawsze obecny cień autora „Dna oka” i przemówień o legionowym „Cendrillonie”.

Czy to wszystko, co napisałem dotąd, wyjaśnia, dlaczego między przyjaciółmi z „Kuźni”, którzy reprezentowali tak bogate skrzyżowania środowisk i klas, nie było przedstawicieli klas wyzyskiwanych? Sądę, że przyczyna była prosta: nienawiść do endecji mogli synowie proletariatu znaleźć gdzie indziej, a uwielbienie dla sprawcy Brześcia nie mogło im się wydać uzasadnione. Szukali przede wszystkim oparcia tam, skąd mogła wyjść walka o poprawę ich bytu. Tam, gdzie pogarda dla endecji była rezultatem ich sytuacji społecznej, a nienawiść do piłsudczyków wypływała z obrony jednoci ruchu. Od inteligentkich synów postępu różnił się tym, że ich wyobrażenie o związkach między ludźmi i pojęcie sprawiedliwości przechodziły przez pryzmat ich materialnych potrzeb. Cóż mogliśmy im dać w zamian, my, których radykalizm był nacechowany ową słabością, jaką ze słowem „radykał” kojarzy się już dzisiaj mimo woli? Nasz podział odczynny na piłsudczyków i endecków, entuzjazm dla jednych i niechęć do drugich, wskazywanie starych przepaści, zasypanych przez czas, i niewidzenie innych, wyrosłych u stóp — musiały się im wydać podejrzane. I były podejrzane.

Los tej gromadki został określony z góry pierworodnym fałszem, który powołał ją do życia. Nie było możliwe, aby ów fałsz nie zemścił się na wspólnej przegrodzie, aby nie zgłotał jej końca. Mgły radykalizmu i radości twórczości, z których mieli się wyłonić przyszli funkcjonariusze aparatu i technicy systemu, musiały się rozwiać pod pierwszym podmuchem. Przyjaciele z czasem dojrzeliby przecież. Kończyli szkoły, studia, Gromadka związana paroma fikcjami nie mogła długo żeglować ponad rzeczywistością. Miała do wyboru: albo stać się świadomym już narzędziem w rękach, którym była potrzebna, albo ulec zróżniczkowaniu pod wpływem rzeczywistych procesów społecznych.

Wybór ten nie dokonał się od razu. Trwał parę lat. 1935—39. Przyjętowała go wojna.

Jeszcze przed śmiercią Piłsudskiego w organizacjach młodzieży sanacyjnej dały się zauważyć tendencje rozłamowe. Lewica skłaniała się ku konsolidacji działań z marksistowskim ruchem robotniczym. Prawica stała na gruncie wierności legendzie, ściślej mówiąc — starszym panom z ministerialnych foteli. Przypominam sobie jakieś burzliwe obrady, na które część uczestników przybyła ze znaczkami „Legionu Młodych” na czerwonych podkładkach. Kolor opuszczonego tramwaju pojawił się w dziesięć lat później na piersiach najmłodszej brygady. Gromadka „Kuźni” dzielnie wytrzymywała szturm od wewnątrz i naciski z góry. Trwało to bodaj kilka miesięcy. Zdaje się, że w tym czasie silniej zaczęliśmy się między nami związywać przyjaźnią. Staraliśmy się uchronić ją od rys, które prędzej czy później musiały wystąpić. Po prostu, było to przecudne roztanie. Rozumieliśmy, że wkrótce nie można będzie oszukać rzeczywistych sił, które nas ogarną i rozerwą dawną wspólnotę. A byliśmy przecie przyjaciółmi.

Rozłam nastąpił. Niejeden, o ile pamiętam. Przegrana szybko zmierzła do końca. Niektórzy wierzyli jeszcze w jakichś wodzów; byli tak naiwni, że spodziewali się od małych wodzów tego, czego nie dotrzymał ten największy. Jednego z nich nazywano Muniem. To on miał nas zaprowadzić na jakieś barykady, aby walczyć o czerwoną podkładkę pod orzełkiem. Jeden z przyjaciół przyszedł pewnego dnia, w okresie rozłamów, i zniechęcony oddał znaczek wraz z legitymacją starszemu kole-dze. Kolega zdziwił się: — Nie wierzysz w Munia? — zapytał, zgorzchniony słabością towarzysza. Towarzysz (padł potem we wrześniu) odparł zupełnie poważnie: — Bo ja wiem? Może i wierzę. Ale co będzie, jak Mu-

PRZEKŁADY Z OBCYCH POEZYJ

GAWRIŁ DIERŻAWIN

OSTATNI WIERSZ

Tocząc niezmienny nurt strumienia,
Unosi ludzkie sprawy czas,
Topi w przepaści zapomnienia
Cesarstwa, ludy, królów, nas.
A jeśli co i pozostanie
Poprzez dźwięk liry, trąby głoś,
Wieczności pożrą to okłanianie,
Aby dzieliło wspólny los!

przełożył Paweł Hertz

JULES SUPERVIELLE

WSPOMNIENIE

W bezgodzinnym lesie
Tną polężne drzewo
Pionowa próżnia
Drży na kształt wrzeczona
Obok pnia ciętego.
Szukajcie, o płaki,
Miejsca waszych gniazd
W tym wysokim wspomnieniu
Póki jeszcze drga,

przełożył Allan Kosko

no wpadnie pod tramwaj? — (Munio nie wpadł zresztą pod tramwaj i będzie tu jeszcze o nim mowa).

Powoli odchodził więc jeden po drugim, studia oddalały od siebie jednych, łączyły z innymi, niektórzy szli do wojska, aby czas rozczarowań rozwiązać praktycznie. Sądziłem, że już ich nigdy nie spotkam. A jednak miało stać się inaczej.

Po czasie zniechęcenia ujrzałem się na nowych pozycjach. Zależnie od stopnia uświadomienia, od siły wytrwania, od uczciwości wreszcie. Nowy układ zarysował się troiście: jedni z przyjaciół wzięli rządowe posady; inni próbowali wiązać pozrywane nici w szczytkach organizacyjnych, które, poddane ścisłej kontroli odgórnej, zachowały tylko dawną nazwę. Ostatni wreszcie wybrali ostry zakręt: organizacje lewicy marksistowskiej — jawne lub nielegalne.

Mechanizm dramatu działał nieomyślnie: wspólnota grupy ludzkiej, zrodzona z kilku fikcyj, pękła, gdy odpadły fikcje — sugestia uroku woda i urojona przepaść dwóch stron. Piłsudski nie żył. Spadkobiercy wyciągnęli ręce — jeśli nie do przeciwników, to do ich duchowego potomstwa. Nie powinien ująć uwagi fakt, że rozbicie pierwotnych organizacji młodzieży sanacyjnej dokonało się niemal równocześnie ze śmiercią Piłsudskiego i wstępnym flirtem z ONR-em. Młodzi radykali nie byli już użyteczni.

Ze wszystkich związków najtrwalsza okazała się przyjaźń. Inne były dość wątłe. Ale i przyjaźń miała być wkrótce poddana ciężkim próbom. Tę grupę przyjaciół rozdzieliły przede wszystkim przypadkowe sprawy. Siły, które ich przyporządkowały procesom tak sprzecznym, musiały prędzej czy później znaleźć swój wyraz na zewnątrz. Rozdzieliły się pary starych towarzyszy, z których jeden szedł na posadę w starostwo, drugi do komórki nielegalnego „Życia”. Nie mogło to pozostać bez skutków dla przyjaźni.

Skutki nie dały na siebie długo czekać. W latach, które szły, w ich grozie — rosły nowe przepaści. Konsekwencje młodzieńczych decyzji wyrastały przed nami miesiąc po miesiącu, zadziwiając ogromem swojej doniosłości. Trzy kierunki życiowe, wynikłe po rozbiciu dawnej jedności grupy, wciąż zahaczały się między sobą, zderzały się wzajemnie, coraz częściej nasuwając na myśl słowo, które dawniej było nam tak obce: walka.

Będę cytował fakty. Wybiorę trzy, najbardziej charakterystyczne, najlepiej obrazujące narastającą ekspresję konfliktów.

Wkrótce po rozbiciu, szczątkowa grupka, która nie opuściła dawnych znaków, trzech czy czterech wierznych z poprzedniego zespołu, wpadła na marzycielski pomysł założenia nowego pisma, które w zmienionym układzie spełniłoby to samo zadanie, co niegdyś „Kuznia Młodych”. A więc: przyjaźń i dawne radykalne hasła. Znalazł się finansista, lokal, nazwa, entuzjaści. Wśród entuzjastów — Munio, ten sam, co miał niedawno prowadzić na Belweder. — Grupka założycieli, poniesiona niewygasłym uczuciem, popełniła jednak pewną nieostrożność: zaofiarowała oto po przyjacielsku udział w redakcji dawnym towarzyszom, którzy po rozłamie wstąpili do ZNMS-u i „Życia”. Zaproszenie zostało przyjęte, bo opanowanie nowej placówki przez lewicę mogło być pożyteczne. Ta wzruszająca impreza skończyła się fatalnie: po wydrukowaniu pierwszego numeru, Munio, który ujrzał nieprzewidziane nazwiska na tytułowej kolumnie, wpadł w furję i skonfiskował nakład. Skonfiskował — bo okazało się, że ten niedoszły trybun rewolucji rozporządza jakimiś tajnymi mocami, które sprawiły, że zjawił się w drukarni w towarzystwie policjantów, wykradł nakład i utopił go w Wiśle. Była to jeszcze groteska; skończyło się na kłótni, uciholo.

Ale w dwa lata potem — nowa odśłona. Tym razem na serio. Był to rok rozwiązania przez władze warszawskiej organizacji ZNMS. Rok, zdaje się, 1933. W lokalu organizacyjnym, na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej, zjawia się policja mundurowa i śledcza. Wśród rewidowanych członków — trzech przyjaciele z „Kuzni Młodych”. Rewizja kieruje czwarty, wówczas już urzędnik starostwa. Trzej przyjaciele sto-

ją z podniesionymi rękami. Nie tak dawno mówili z nim o perspektywach przyszłej rewolucji. Teraz on omija ich wzrok. Nie jest to sytuacja przyjemna.

W tym samym czasie u członków zarządu odbywają się rewizje po domach. Jednym z nich jest również dawny przyjaciel z „Kuzni”. W szufladzie znalazła się jakaś bibuła. A na biurku, jakby wspomnienie dawnych sentymentów, brązowa plakietka z profilem w maciejówce. Przewodnik policji śledczej zdumiał się. — Jak to? — potoczył oczami — więc pan w szufladzie trzyma „to”, a na biurku „tamto”? — U niego — odparł świeży wywrotowiec — także kiedyś w szufladzie bywały takie rzeczy. — Ale potem, po latach, kiedy wspominał ten dzień, zwierzył mi się, że wyrzucał sobie tę odpowiedź. Bo przewodnik miał rację. Jedno przeczyło drugiemu.

Przyszły lata wojny. Lata zaostrzających się przeciwieństw. Jeśli wrzesień połączył na krótko dawnych przyjaciół we wspólnej walce, to dni późniejsze przydały okazji do pogłębienia się różnic. Przepaści nie powstawały z przypadku. Częściej z logiki wybranego losu. Wiem, że gromadka przyjaciół, o której pisze, miała swych przedstawicieli na wielu odległych krańcach. I to przedstawicieli wybitnych. Byli to przecież najzdolniejsi uczniowie w klasie. Przemiany rzeczywistości narzucały tej grupce, niegdyś tak ufnej w swój wspólny cel, żelazne konsekwencje dokonanego wyboru. Ostatni przykład świadczy o tym z okrutną dobitnością.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Zjazd literatów w Łodzi

Dwie były sprawy naczelne, którym — jak słusznie podkreślił w swym końcowym przemówieniu wiceminister Leon Kruczkowski — drugi ogólnopolski zjazd delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich poświęcił swoje obrady: zagadnienie podstaw materialnych bytu pisarza oraz zagadnienie postawy ideologicznej pisarstwa polskiego. Stanowią one dwie strony tego samego problemu: zagadnienia roli i autorytetu społecznego centralnej organizacji zawodowej pisarstwa polskiego. Związek Zawodowy Literatów Polskich jest powołany w równej mierze do obrony interesów zawodowych, co do reprezentowania ideowego stanowiska grona ludzi, spełniających ważną funkcję kształ-

W okresie lubelskim, w pierwszych dniach rządów PKWN-u, jeden z dawnych przyjaciół podjął lewicową działalność wśród emigracji polskiej na zachodzie Europy. W tym samym kraju przebywał właśnie szkolny kolega, eks-„Kuzniak”, w owym czasie oficer do specjalnych zleceń w sztabie Andersa. Działalność pierwszego wydała owoce. Plany przeciwnie spaliły na panewce. 10 lat upłynęło właśnie od dni, gdy razem organizowali na uczelniach wiece antyendeckie. Ale od tego czasu urojona przepaść między wstecznictwem a wstecznictwem została zasypana, a na jej miejscu udeptany wspólny grunt. Grunt solidarności w walce z polską lewicą ludową. I oto stało się tak, że na obczyźnie, o setki kilometrów od gruzów ojczystego miasta, przyjaciel wydał odezwę przeciw przyjacielowi. Odezwe nawołującą do morderstwa. Bardzo nikczemną odezwę.

Nie mogło skończyć się inaczej. Początkowy fałsz wrócił jak bumerang do stóp i położył się z całą jawnością swej treści między dawnymi przyjaciółmi. Wydaje mi się, że był tu pewien dramat. O to mniejsza, że z ideowej i moralnej nicości sanacji chciano stworzyć ideologię. Ale fakt, że do tej nicości wręgnięto cenny odłam młodego pokolenia, że hodowano tam po różnych pseudoradykalnych stacjach prychówek pod nową szczepionkę cynizmu — fakt ten oburza jeszcze dziś. Zmarowano tam wielu ludzi. Złamano opór niejednego sumienia. Część liczącej generacji ogłupiono umysłowo i skażono moralnie. Fałszerstwem historii, oganiem wszelkiej prawdy

stawiania za pomocą literatury poglądów i opinii społeczeństwa.

Oblicze ideologiczne Zjazdu wyraziło się w referatach Stefana Żółkiewskiego, Włodzimierza Sokorskiego, delegata Centralnej Komisji Związków Zawodowych, Jana Nepomucena Millera, w przemówieniu L. Kruczkowskiego oraz w dyskusji nad referatami, zwłaszcza w wypowiedziach Marii Dąbrowskiej, St. R. Dobrowolskiego, J. Zagórskiego, A. Ważyka i replikach referentów.

Referat Stefana Żółkiewskiego pt. „O sytuacji literatury i pisarza” („Kuznica”, nr 61), wysuwający się zdecydowanie na czoło referatów zjazdowych zarówno głębią zawartej w nim zasadniczej problematyki, jak i piękną formą literacką, wypo-

o społeczeństwie, jego potrzebach i siłach, integralnym oszustwem ideologicznym — chciano kupić całe pokolenie. Jeśli używałem tu nazwy: przyjaciele z „Kuzni Młodych”, to, rzecz prosta, nie dotyczy ona tylko małej grupki wokół redakcji pisma. Tysięcy tysięcy rówieśników, tysięcy również starszych od nas, urabianych przez trzynaście lat w licznych organizacjach młodzieży sanacyjnej. Kto wie, czy bezideowość społeczna mas Armii Krajowej, dezorientacja polityczna części inteligencji polskiej w czasie okupacji — nie są owocem tych lat trzynastu. Trzeba zdać sobie sprawę z faktu, że w chwili wybuchu wojny było w Polsce co najmniej 15 roczników (1910—1925), roczników najcenniejszych dla oporu — które przeszły przez sanacyjną szkołę lub „robotę młodzieżową”. Po klęsce wrześniowej, po ucieczce przez most zaleszczycki cień sanacji raz jeszcze powrócił do kraju. — W omyłkach, w bierności politycznej szarych szeregów AK, w zafananiu umysłowym odłamów społeczeństwa, w ich upadku moralnym — dał się poznać stary posiew nicości.

Taki był, w krótkim zarysie, los gromadki przyjaciół z warszawskich przedwrześniowych czasów. Wojna rozrzucała ich po całym świecie. Zaległy między nimi morza, góry i puszcze. Dlatego, ilekroć zdarzy mi się któregoś z nich spotkać po latach, otwieram ramiona do uścisku. Ogarnia mnie wzruszenie, że oto przetrwał ktoś, z kim łączyły mnie kawał życia i dawne iluzje, pozostawione daleko za nami.

Kazimierz Brandys

wiedziany został pod hasłem zasadniczego przeciwstawienia się wskazanemu św. Augustyna „Nie chodź na rynek, wejdź w siebie, we wnętrzu człowieka mieszka prawda”.

Wedle Żółkiewskiego zadaniem literatury poszukującej zasadniczej prawdy o świecie jest, wbrew św. Augustynowi, wyjście na rynek. Zarysy istotnej prawdy o świecie daje nam nie moralność, nie psychologia jednostek, uwikłanych w skomplikowany aparat procesów społecznych, lecz historia, socjologia, życie zbiorowe ludzkiego, badane empirycznie, od strony faktów. Zasadniczą właściwością dzisiejszej rzeczywistości jest wyraźny podział na dwa obozy. „Nie wolno być neutralnym. Linia podziału biegnie przez wszyst-

kie dziedziny życia, myśli, kultury. W każdej ludzkiej sytuacji można być i obiektywnie zawsze jest się — za lub przeciw faszyzmowi”.

Cechą dotychczasowej literackiej wiedzy o człowieku i świecie ludzkim było to, że wspierała się ona „na konstrukcji niezmiennych natury ludzkiej, której właściwości w miarę potrzeby — wyjaśniać miały los człowieka i dynamikę oraz wartościową treść świata ludzkiego”. Tęgo rodzaju „naturalizm”, wywodzący się ze spojrzenia na świat nie tylko Darwina, Spencera i Zoli, lecz także ostatnich, spóźnionych naturalistów — Freuda i Adlera, wyraził się w literaturze w postaci nadrealizmu oraz sublimowanego psychologizmu Prousta, Gide'a czy Conrada. Już u progu XX wieku został on poddany druzgocącej krytyce i pokonany przez współczesną filozofię kultury i nauk humanistycznych, przez szkołę neopozytywistyczną. Jedyną współczesną wiedzą o kulturze i człowieku, która zresztą nie wywodzi się genetycznie ani z neopozytywistycznego empiryzmu, ani antynaturalizmu — jest humanistyka marksistowska.

W ocenie dwu lat pracy literackiej i działalności ideowej Związku Literatów Żółkiewski podniósł jako zjawisko dodatnie dążenie do pokonania tradycji symbolizmu i impresjonizmu w poezji, wzrost zainteresowań społecznych i intelektualnych w prozie, walkę z przeżytkami kierunkami literackimi w krytyce. Stwierdził, że charakteryzowany przezeń nurt przemian literackich objął literatów różnych kierunków ideowych, między innymi pisarzy obozu katolickiego, a więc większość naszych pisarzy. Jednocześnie zaatakował ten odłam literatury, który trwając na pozycjach umarłych manier literackich i pozostając obcy współczesności, zasłużył na miano sui generis „emigracji wewnętrznej”. Przeciwwstawiał się również martwocie i brakowi czynnych posunięć w zakresie organizacyjnej działalności ZZLP. Inne referaty, poświęcone przede wszystkim sprawom zawodowym pisarstwa, podzielały to stanowisko.

Znakomite uzupełnienie wywodów Stefana Żółkiewskiego stanowił referat przedstawiciela CKZZ Wł. Sokorskiego. Podkreślał on organiczną łączność funkcji pisarza ze światem pracy i jego przynależność do tego świata. Zgodnie z tymi samymi założeniami teoretycznymi, jakie leżały u podłoża wywodów Żółkiewskiego, wskazywał jako zasadniczy kierunek wysiłków człowieka i drogę do jego wyzwolenia — naukę, „ściślej — naukową metodę poznania praw przyrody, własnych instynktów, praw, które rządzą ekonomiką, socjologią, polityką, powstawaniem i zamieraniem tych czy innych nurtów artystycznych w sztuce”.

Jedynie przez opanowanie procesów rozwojowych życia osiąga się prawdziwą wolność w konkretnej rzeczywistości. Podobnie w literaturze — zadaniem jest przedstawienie tych procesów. „Świat pracy — stwierdził referent — nie zamawia z góry uplanowanej tematyki i nie stawia warunków. Żeby pisać o życiu fabryki, kopalni czy biura. Jesteśmy ludźmi tym różniącymi się od innych, że działamy świadomie, że, opamiętawszy naukową metodę dialektycznego myślenia — potrafimy nie tylko analizować fakty, ale siebie w tych faktach stwarzać. Historia tę rolę przekazała nam dlatego, że nie przesłaniają naszych horyzontów ideologicznych miliony złotych, które zostały utracone w rezultacie wywłaszczenia. Człowiek pracy, robotnik czy inteligent oczekuje takiej twórczości, która pokaże mu jego walkę, jego mękę, jego tragizm codzienności i dramatyczny konflikt dnia wczorajszego z dniem jutrzejszym w dynamicznym skrócie artystycznego myślenia. Jesteśmy przeciwnikami twórczości propagandowej”.

W oderwaniu jak gdyby od zasadniczych zagadnień poruszonych przez dwa omówione referaty pozostał referat trzeci, J. N. Millera. Ograniczył się on do ataków na te dziedziny naszej literatury, którą stanowi trudna poezja o typie nowatorskim: zarzucał jej elitaryzm i brak związków z rzeczywistością i potrzebami naszego życia zbiorowego. W drugiej części swego referatu prelegent



STANISŁAW KAMOCKI (1875—1949)

Pejzaż

występował przeciwko próbom narzucania „przez pewne — jak się wyraził — koterie literackie czy artystyczne” jakiejś jednej, określonej formy sztuki, uznanej za „wzorcową” i propagował „wielościową” politykę kulturalną, opartą na dobrze pojętym regionalizmie i popieraniu samorodnej twórczości ludowej.

Leon Kruczkowski w przemówieniu wstępnym podkreślił (a stanowisko to reprezentował również Żółkiewski w swoich wywodach), że zajęcie przez pisarzy zdecydowanej postawy ideologicznej jest może mniej wygodne niż ucieczka w estetyzm, ale jest moralnym nakazem pisarstwa. — Przeciwnie temu wystąpiła Maria Dąbrowska. Jej zdaniem „dziś ogłosić się jako związek polityczny jest rzeczą wygodną, a niewygodną byłoby ogłosić się jako związek apolityczny”. W odpowiedzi na hasło poszukiwania prawdy na rynku rzeczywistości społecznej (było już ono, jak przypomniała, dewizą np. Sokratesa i Flauberta), Maria Dąbrowska wyraziła obawę, „że gdyby kol. Żółkiewski wyszedł na rynek polskiej rzeczywistości, to wróciłby prędko, doszedłszy do przekonania, że nie kontaktuje z rzeczywistością, albo ogłosiłby we wspaniałym artykule dialektycznym, że na rynku znalazł tylko kłamstwo”. Zakwestionowała również tezę referatu ob. Sokorskiego, dotyczącą wymagań stawianych pisarzowi przez współczesną rzeczywistość. Stwierdziła, że „nie ma rzeczywistości, która miałaby stawiać pisarzowi inne zadania jak to, żeby życie swe poświęcić swej pracy i być dobrym pisarzem”. Wreszcie Dąbrowska przeciwstawiła się tezie Żółkiewskiego (wypowiedzianej w dyskusji nad sprawozdaniem ustępującego zarządu), aby członków przyszłych władz związków wybierać nie ze względu na miejsce, lecz ze względu na przydatność. Imputowała ona, że za tym postulatem kryje się chęć skupienia agend związku w Łodzi, co ma swoje wyraźne oblicze polityczne. Ze swej strony apelowała do przedstawienia siedziby zarządu Związku w Warszawie.

Z twierdzeniami Marii Dąbrowskiej polemizowali St. R. Dobrowolski i St. Żółkiewski. Dobrowolski podkreślał, że postulaty stawiane pisarzowi nie mogą ograniczać się jedynie do doskonałości technicznej w jego zawodzie. Żółkiewski utrzymywał, że przemówienie jej, chociaż głośno apolityczne, było w gruncie przemówieniem politycznym. Hasło apolityczności w dzisiejszej sytuacji jest wysuwane w sposób zupełnie określony przez określone grupy polityczne i to należy jasno powiedzieć. Jasnego stwierdzenia wymaga też fakt, że tocząca się dyskusja dwu stanowisk ideologicznych nie odbywa się, podobnie jak całe życie kulturalne w Polsce, w atmosferze jakiegokolwiek nacisku ze strony państwa. „Trzeba bardzo wyraźnie podkreślić — powiedział Żółkiewski — że w ciągu tych dwóch lat państwo polskie nie zwróciło się do literatów z żadnym nakazem, przebiegiem, z żadną normą”. Pisarz polski jest swobodny, a to, co sobie sam może dobrowolnie postawić za zadanie, to jedynie walka z wrogiem politycznym. Nie wolno — zdaniem mówcy — od niej się uchylać w imię hasła estetyzmu.

Jerzy Zagórski w przemówieniu swoim zaapelował do zebranych, aby w dzisiejszej epoce troszczyć o istnienie ludzkiego gatunku uznali, że nie zasada mechanicznej przewagi głosów, ale zasada „konsensu humanistycznego myślenia” winna decydować o stanowisku zajętym w sprawach ideologicznych. Jako przedstawiciel obozu katolickiego i literackiego środowiska krakowskiego podkreślił, że pisarze krakowscy w kilku wypadkach właśnie na terenie związku umieli stworzyć atmosferę koleżeńskiego porozumienia w sprawach o charakterze politycznym.

Zacytowane głosy w dyskusji charakteryzowały układ sił na Zjeździe. Stanowisko ideologiczne lewicy reprezentował ośrodek łódzki, terenem wyraźnej opozycji i hasła PSLowskich — była Warszawa (delegaci środowiska warszawskiego, m. i. publicyści „Gazety Ludowej” — Dziukowski i Szczawiej), stanowisko raczej pośrednie, z tendencją do porozumienia z lewicą, zajmowała największa, dwunastoosobowa delegacja krakowska.

Wynikiem tego układu sił był wybór nowych władz związku. Prezesem wybrany został Kazimierz Czachowski, członkami Zarządu: Jerzy Zagórski (Kraków), Aleksander Wat (Warszawa), Stefan Żółkiewski (Łódź), Juliusz Żuławski (Łódź), Wojciech Natanson (Kraków) i Wilhelm Szewczyk (Katowice).

Zarząd ukonstytuował się w sposób następujący: K. Czachowski — prezes, Jerzy Zagórski i Stefan Żółkiewski — wiceprezisi, Juliusz Żuławski — sekretarz generalny, Aleksander Wat — skarbnik, członkowie: Wojciech Natanson i Wilhelm Szewczyk.

Siedzibą Komisji Kwalifikacyjnej, przyjmującej nowych członków, została Warszawa, ponieważ środowisko krakowskie rzekło się tej funkcji. Do komisji wybrano: Wacława Rogowicza, Aleksandra Rymkiewicza, Helenę Boguszewską, Józego Zawieyskiego i J. N. Millera.

Do Sądu Koleżeńkiego wybrano Władysława Rymkiewicza (Łódź), Juliana Przybosia (Kraków) i Marię Dąbrowską (Warszawa). Do Komisji Rewizyjnej: Tadeusza Brezę (Kraków), St. R. Dobrowolskiego (Łódź) i Juliusza Gomulickiego (Warszawa).

Podstawą obrad nad zagadnieniem bytu materialnego pisarzy były: sprawozdanie ustępującego Zarządu złożone przez sekretarza generalnego St. R. Dobrowolskiego, sprawozdanie przedstawicieli komisji rewizyjnej, prawniczej i kwalifikacyjnej oraz referaty: Jana Brzechwy „O sytuacji zawodowej pisarzy”

JULIAN PRYBOS

Duchy poetów i przekład

W studium o poezji Leśmiana Artur Sandauer wyraził pogląd, że dowodem doskonałego wniknięcia w tajemnicę stylu poety byłoby napisanie jakby jego wiersza. Sandauer wierzy, że sekret poety można wykryć niechybnie i całkowicie, że przez analizę utworów uda się odsłonić i jawnie pokazać tajemniczą zasadę twórczą, wedle której poeta formuje swe dzieło. Ujawniwszy owo punctum saliens łatwo będzie poruszyć cały świat poety, nie tylko po to, żeby zmierzyć wszystkie wysokości i niże tego świata, ale... Sandauer — pół-zartem, pół-serio — podsuwa mimo woli myśl, że wtedy każdy inteligentny pisarz mógłby robić wiersze w duchu tak zdemaskowanego poety.

Istotnie, najwięcej wierszy pisze się „w duchu” a raczej „w duchach” wielu poetów. Poetów o własnej zasadzie twórczej — takich jak Leśmian czy Norwid — jest niewiele, a autorów poezji płynących z licznych źródeł, już odkrytych i już bijących w pierwowzorach — jest legion i ten legion, ta przeważająca, ogromna reszta, to literatura... Kielisek (ten z przysłowia francuskiego), który wielu autorów uważa za swój własny, bywa zazwyczaj napelniany cocktailiem z różnych nurtów poetyckich. To, czym się prawie wszyscy chlubią i o co zabiegają: pycha oryginalności — często bywa tylko zręcznością mieszcza — mixtera.

Nie docenia się teraz w teorii literatury roli zmysłu naśladowniczego, powszechnego i silniejszego niż wola oryginalności. Nie tylko każdy pisarz zaczyna od naśladowania wzorów, ale każda literatura narodowa zaczynała się od tego. Horacy za największą swoją zasługę pochytywał sobie przeniesienie do mowy Rzymian metrów greckich — i nie wątpił, że dokonał dzieła wyższego i trwalszego niż piramidy. Trud Kochanowskiego, twórcy renesansowego wiersza polskiego, był również potężny. Stworzył formy klasyczne w języku, który w poezji prawie że nie istniał. Geniusz Kochanowskiego znalazł godnego następcę dopiero trzy lata później. Dopiero Mickiewicz stworzył nowy, inny niż Kochanowskiego język poetycki. Przed Mickiewiczem poeci polscy podawali sobie z pokolenia na pokolenie przysłowia lutnie po Bekwarku, tę, na której grał mistrz czarnolesski.

Znałem pewnego oryginała, przewrotnego miłośnika oryginalności, który ogromną większość literatury

i dyrektora departamentu literatury Stanisława Furmanika.

Referat J. Brzechwy nacechowany był szczera troską o byt pisarza w Polsce dzisiejszej i stawiał sobie za zadanie zwalczanie mitu o rzekomym dobrobycie, w jakim żyją w Polsce literaci. Referent wykazał nieodpartymi argumentami, że legenda o wysokich zarobkach pisarzy, która powstała wskutek powodzenia na rynku księgarskim kilku książek, (zrozumiałego po okresie sześciu lat milczenia) — nie dotyczy nawet kilku procent ogółu literatów. Pisarze, którzy w ciągu sześciu lat wojny, w odróżnieniu od innych wolnych zawodów, nie mogli wykonywać swego zawodu — stoją dzisiaj wobec zagadnienia szybkiego zmniejszenia się zarobków z chwilą, gdy pierwszy głód książek zostanie zaspokojony, i — wobec wysoce niedostatecznego poparcia ze strony państwa.

W dyskusji nad sytuacją materialną pisarzy delegat CKZZ Sokorski podniósł, że byłoby błędem opierać egzystencję Związku jedynie na subwencjach z ministerstwa, nie mogłoby to bowiem przyczynić się do wzmocnienia pozycji Związku jako czynnika niezależnego od polityki władz administracyjnych. Mówca nadmieniał, że w Centralnej Komisji Związków Zawodowych powstał projekt utworzenia Społecznego Funduszu Kultury, opartego na dobrowolnym opodatkowaniu się świata pracy, który byłby podstawą działania Związków twórczych.

Wojciech Natanson mówił o trzech

kierunkach pracy pisarzy w związku z trzema rodzajami instytucji, od których praca ta jest zależna. Są nimi firmy wydawnicze, teatry i czasopisma. Odpowiedni rozdział ról i podział pracy między tymi instytucjami i pisarzami miałby duże znaczenie dla rozwoju życia literackiego. W zakresie ruchu wydawniczego mówca wyróżnił działalność Państwowego Instytutu Wydawniczego, spółdzielni wydawniczych i wydawców prywatnych. Zadaniem pierwszego winno być przede wszystkim wydawanie dzieł klasyków, zadaniem drugich — podjęcie wydawnictw wartościowych o trudniejszym zbycie, trzecich — twórczości lżejszej. Mówca uskarżał się na trudności w wydawaniu drukarni utworów dramatycznych i brak pomocy dla regionalnych pism literackich, które z braku funduszy przerywają swoją działalność.

Dyrektor departamentu teatrów w ministerstwie kultury i sztuki Michał Rusinek przedstawiał wytyczne programu teatralnego. Przyjęto zasadę, że trzy piąte repertuaru muszą stanowić sztuki autorów polskich. Godny podkreślenia jest obowiązek utrzymywania kierowników literackich przy wszystkich teatrach.

Kazimierz Wyka stwierdził potrzebę wzmocnienia przerwanego wskutek wojny i zaniedbanych potem kontaktów literatury, a zwłaszcza młodzieży literackiej, z zagranicą, konieczność stworzenia stypendiów na wyjazdy dla młodych pisarzy. Akcja ta nie wiadomo dlaczego stała o-

statnio na martwym punkcie. Wyka podkreślił też konieczność nawiązania bliższych stosunków literackich zwłaszcza z tymi państwami, które, jak Czechosłowacja czy Bułgaria, są importerami naszej literatury i gdzie wiedza o naszej literaturze stoi o wiele wyżej niż nasza wiedza o ich piśmiennictwie. Akcentował też wagę, jak najrychlejszego wprowadzenia w życie uchwalonej ustawy bibliotecznej i stworzenia niezależnych od funduszy ministerstwa materialnych podstaw bytu pisarzy.

Adam Ważyk mówił o potrzebie stworzenia Funduszu Literackiego, którym dysponowałby Związek Literatów, i o szczególnej roli kulturalnej Związku Literatów wśród innych związków artystycznych. Wilhelm Szewczyk apelował o pomoc i opiekę dla piętnastu żyjących pisarzy żużelkich, pracujących w niesłychanie ciężkich warunkach na wysuniętej placówce Słowiańszczyzny. Wojciech Zukrowski mówił o trudnych warunkach pisarzy osiedlających się na Ziemiach Zachodnich, i wnosił o wszczęcie starań, aby uzyskać dla nich prawa ludności repatriowanej. Aleksander Wat mówił o projektach dotyczących wydania dzieł klasyków literatury polskiej w ciągu lat najbliższych.

Toczone na Zjeździe dyskusje, tak ideologiczne, jak dotyczące bytu pisarzy, znalazły wyraz w uchwalonych rezolucjach. Ważniejsze z nich brzmią:

1) Walny Zjazd delegatów ZZLP w zrozumieniu doniosłości przeżywanego okresu odbudowy, w obliczu trudności, z jakimi boryka się kraj, wzywa wszystkich pisarzy polskich do współdziałania z całym obozem demokracji polskiej w planowej odbudowie naszego bytu narodowego, w obronie polskiego stanu posiadania, w szczególności na Ziemiach Zachodnich, i utrwalenia wielkich reform gospodarczych i społecznych. Jako fundamentu postępu społecznego. Zjazd Walny wzywa pisarzy do podjęcia pod kierownictwem literackiego samorządu zawodowego gorliwej, zorganizowanej pracy nad odbudową kulturalną kraju, nad urzeczywistnieniem ideału upowszechnienia kultury w duchu rozpoczętych przemian gospodarczych i społecznych, w duchu poszanowania zasad postępu i demokracji.

2) Zjazd Delegatów wita z zadowoleniem nawiązanie współpracy z Centralną Komisją Związków Zawodowych, widząc w tym wyraźne korzyści zarówno dla organizacji, jak i dla zapewnienia podstaw finansowych dla działalności Związku. Podkreślając ponadto wielkie znaczenie tej współpracy dla upowszechnienia kultury i wzajemnego przenikania się świata pracy i twórczości, Zjazd wyraża Zarządowi podziękowanie za dotychczasową akcję oraz delegatowi CKZZ Sokorskiemu za doskonale umotywowaną chęć nawiązania stałych stosunków.

3) Walny Zjazd Delegatów zobowiązuje Zarząd Główny do przedstawienia czynnikom i instytucjom zainteresowanym ogólnokrajowego planu wyławniczego, który ma uwzględnić we właściwej mierze i proporcjach potrzeby upowszechnienia kultury, pomocy dla decydujących o postępie sztuki u nas wydawnictw artystycznych, pomocy dla wydawnictw naukowych, szerokiej akcji popularyzowania klasyków swojej i obcej literatury. Zarząd ZZLP winien poczynić starania, aby plan ten zdecydowany był przez ciało, w którym byłoby zabezpieczone wpływy ZZLP.

4) Walny Zjazd Delegatów zobowiązuje Zarząd Główny do osiągnięcia tego, aby przy wszystkich instytucjach upowszechniających utwory literackie działali doradcy literaccy angażowani za zgodą i w porozumieniu z Zarządem Głównym ZZLP i odpowiedzialni za swoją politykę artystyczną nie tylko przed samą instytucją ale i przed Walnym Zjazdem ZZLP, który ma prawo poddać ocenie ich działalność.

Wyniki obrad Zjazdu ocenić należy pozytywnie. Świadczy o tym kryształowaniu się stanowisk ideologicznych w obrębie Związku i o sukcesie pisarzy ustosunkowujących się w sposób aktywny do przeżywanej rzeczywistości dziełowej. Są również wyrazem i zapowiedzią ożywienia wysiłków Związku w zakresie postulatów zawodowych

Julian Przybos

Ryszard Matuszewski

ANNA BARTLING

ilustrował TADEUSZ KONWICKI

ODWIEDZINY SZWEDZKIE

Długo zastanawiałam się, jaki przymiotnik mógłby najlepiej określić Szwecję. Nie znalazłam lepszego ani oryginalniejszego niż — przedwojenny.

Szwecja jest anachronicznie przedwojenna.

Przedwojenny jest Sztokholm świecący nocami tysiącami neonów odbijających się stokrotnie w granatowym lustrze Bałtyku, przedwojenni są ludzie, którzy, nie zaznawszy braków, nędzy, trwóg i tragedii, pędzą swoje małe, codzienne, wygodne życie. Kaprys największej katastrofy dziejów oszczędził mury i dusze tego zakątka Europy.

Jeżeli wojna przyniosła Szwecji jakieś zmiany, to tylko zwiększenie dobrobytu.

Niestety bariera języka nie pozwala mi zajrzeć głębiej w dusze tych solennie poważnych, solidnych, rzadko uśmiechających się naszych sąsiadów.

Wszelkie rozmowy ograniczać się muszą do banałów, wymienianych pomiędzy gospodarzem a gościem w języku obcym i jednej i drugiej stronie, bo w angielszczyźnie, którą prawie każdy szanujący się Szwed i Szwedka lepiej lub gorzej włada.

Wrażenia moje są właściwie czysto wizualne.

Sztokholm to pełnia życia, tempa pracy i dobrobytu rzucającego się w oczy na każdym kroku. To jedno z najnowocześniejszych miast, o architekturze w kamieniu budującej dzisiaj na granitach wysp i wybrzeża kwadratowe, oszklone pudła domów czynszowych i robotniczych, zwróconych ku słońcu, masywy fabryk i elewatorów zbożowych w zalmach zatok.

Wczoraj zaledwie zbudowano bliźniacze półdrapacze chmur na Kungsgatan (jedna z głównych ulic) i przykryto miedzianą kopułą szlachetny w liniach ratusz, na którego szczycie złocą się trzy korony. Spokojny, poważny pałac królewski, kilka kościołów i zaułki wyspy rycerzy — zabytki przeszłości — dziwnie harmonizują z tą nowoczesnością.

Orzeźwiający powiew idący od morza, stalowy kolor płacht wody, dzielącej wyspy i półwyspy, na których rozłożyło się miasto, niebo blade błękitne w dzień a pełne światła w nocy, dają wrażenie jakiejś chłodnej, zdrowej siły, tej samej, która cechuje tłumy na ulicach czy w popularnych miejscach rozrywkowych.

Kontemplacja wystaw staje się po godzinie męcząca i budzi refleksje. Za dużo tego dobrego. Łatwo się znużyć, zgubić i zatracić swój styl w tym nadmiarze. Jest to ta górna, niebezpieczna granica dobrobytu — przesyć. Dobrze ubranie przestaje być sztuką samą dla siebie czy pokazem wyjątkowej indywidualności.

To samo pomieszanie pojęć da się zauważyć w zakresie smaków gastronomicznych. Wprawdzie o kuchni szwedzkiej nie można powiedzieć jak o angielskiej, że potrafi zepsuć każdy produkt, niemniej jednak pogląd na przyprawianie potraw jest nieco odmienny niż u nas.

Chcąc skrócić sobie długi czas oczekiwania na posiłki — mądrze pomyślana powolność obsługi nie jest obliczona na nie wy cudzoziemca — można się przyglądać dekoracjom kwiatowym, oryginalnym w każdej restauracji. Wiszące ogrody odpowiednio oświetlone, jakieś oranżerie kwiatów różnych gatunków, ściany pokryte pracami roślinami. Prócz śnieżnobiałych obrusów każdy dostaje jednorazowo obrus papierowy, wyrobem i wzorem imitujący najpiękniejsze płótna. Ilość zużywanego papieru w Szwecji budzi podziw.

Raj otwiera się również dla wygłodzonego łakomczucha z kontynentu. Jest wszystko. Rzeczy, o których się zapomnielo, i rzeczy, których się nigdy nie jadło. Wystarczy właściwie sam widok, sama możliwość kupienia. Kilo pomarańczę kosztuje 1 koronę 85 órów, banany trochę więcej, złote grapefruity zawałają lady, a z domowymi produktami nikt się nie liczy. Wojenny system kart-

kowy na chleb, mąkę, masło, mięso, cukier i mydło jest utrzymany w całej pełni, ale ilości są wystarczające. Trudno uwierzyć — nie ma tu czarnego rynku.

Jedynie konsumpcja alkoholu jest ograniczona. Ale to też przedwojenny wymysł szwedzki. Pić można zamawiając jedzenie i to tylko dwa kieliszki. Spragnieni mogą wprawdzie obejść ten przepis, zamawiając drugi obiad czy kolację w innej knajpie, ale i tu niedobra władza przeszkadza obywatelom. Wieczorem prawie przed każdą restauracją stoi srogi policjant z pokojową szablą u boku i biada temu, którego chwilowy krok zdradza bliższą znajomość z kieliszkiem.

Policja ma prawo zatrzymać na ulicy każdy bez wyjątku samochód i zaprosić kierowcę na policyjną izbę lekarską. Jeśli próba krwi wykaże większy aniżeli dopuszczalny procent alkoholu, nieszczęśnik traci prawo jazdy na rok a za następnym przekroczeniem na zawsze.

Jak się to dzieje, że w tym kraju surowej prohibicji, gdzie na dorosłą głowę można kupić zaledwie dwa litry spirytusu na miesiąc, pije się bardzo dużo — trudno zrozumieć. Zrozumiałam natomiast, dlaczego dziennikarka szwedzka, która jechała ze mną z Polski, starała się przemycić przez granicę pewną ilość tej — jak tu mówią — aqua vitae. Może i inni radzą sobie podobnie.

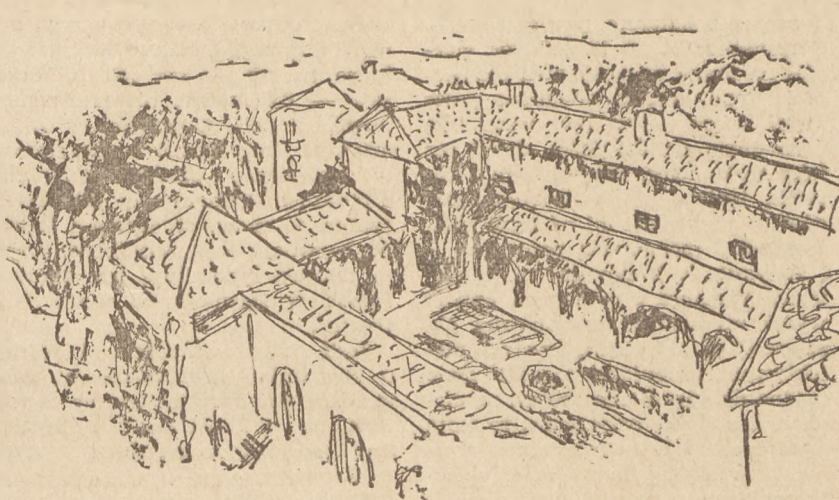
W pogodny, letni dzień setki żaglówek sunie leniwie po wodach Bałtyku i Malarn (jezioro łączące się w Sztokholmie z morzem). Dziesiątki motorówek maści spokojne tafle wód, znacząc śladem warkoczy fal postępowi motoryzacji. Kto żył wypływa na morze w czasie krótkiego letniego sezonu i letnich urlopów. „Stangt” — „zamknięte”, wywieszka na wielu sklepach i przedsiębiorstwach oznacza, że personel ma dozwolony ustawowy urlop, spędzany prawdopodobnie nad wodą lub na wodzie.

Sport wodny jest sportem narodowym. Są nawet specjalne typy łodzi i żaglówek, zwane ludowymi, coś jakby odpowiednik „samochodu ludowego”, obliczonego Niemcom przed wojną.

Wieczorem luksusowe jachty zacumowane w przystaniach kołyszą się szeregami wzdłuż bulwarów stolicy.

Z porozumiewaniem się na migi — a i tak czasem trzeba — byłoby dobrze, gdyby nie to, że Szwedzi, zamiast w tym momencie wrócić do prymitywu, zalewają nas potokami nieoczekiwanej wymowy. Dźwięki te dosyć melodyjne, ale niczego zrozumieć nie można. Intencje są jednak zawsze dobre. Jeżeli nie można

dojść do porozumienia co do ceny, wyciąga się po prostu portmonetkę i ofiarowuje swoje zasoby. Wiara w przysłowiową uczciwość szwedzką jeszcze istnieje, ale to już nie to co było. Dowodem tego jest choćby konieczność zamykania na kłódki rowerów, parkowanych na każdym kroku. Najniższe premie asekuracyjne od kradzieży wzrosły podobno ostatnio o jakiś ułamek procentu. Może wpływ wojny przesądza się i w tej dziedzinie.



Wrażenie Edenu potęguje przyjazny stosunek zwierząt do ludzi. Węże są obłaskawione, wiewiórki przychodzą jeść z ręki, ptaki bez ceremonii gospodarują w czasie śniadania na stole, wybierając sobie z obfitego menu, co im dogadza. Nie widziałam ani jednego żebraka. Podobno milionerów jest też niewielu. Bogactwo jest na ogół rozłożone równomiernie na całą ludność.

Prowincja ma odrębny charakter, choć jeszcze bardziej przedwojenny. Najmniejszy ułamek pola wolny od narzutowych gładów złoci się zbożami. Naczelnicy stacji kolejowych z powagą ministrów i dworską kurtuazją wymieniają grzeczności z maszynistami pociągów, trochę przedpotopowych, choć bardzo wygodnych i równie czystych jak reszta kraju. Stacje toną w kwiatkach.

Ilość stad czarno-białego na południu, czerwonego w Uplandzie bydła, traktorów pracujących na polach, pierwszorzędną uprawa roli dają z okien wolnych pociągów czy szybszych, żółtych, komfortowych autobusów obraz bogactwa rolniczego.

Szwecja, nauczona doświadczeniem pierwszej wojny światowej, stała się samowystarczalna rolniczo. Z biednych a wojowniczych pludrów, heretyków i rybojadów, z wyjątkiem zamięłowania do śledzi na słodko, Szwedzi od czasów „potopu” zmienili się w baranków. Tylko ciędkie, o krótkich szyjach i długich, skudła-

czonych grzywach konie jednolitego typu, niespotykanego gdzie indziej, przywodzą na pamięć walki Wołydyjowskich i Kmiciców. Na takich gnładoszach i brudnych kasztanach rajtaria szwedzka tratowała polskie łąny. Dzisiaj i te pasą się pokojowo na zielonych łąkach.

Upsala, słynna na cały świat Upsala, ze swoją biblioteką, uniwersyteciem i katedrą, jest rozpaczliwie banalna i brzydka. Małe, prowincjonal-

ne, na pół uprzemysłowione miasteczko.

Katedra zaczęta w XIII w. przez francuskich mistrzów kamieniarskich, ukończona w 1435 r., spalona i przebudowana kilka razy, została w gruntownym, wandalujskim sposób odrestaurowana po raz ostatni w latach 1885—95. Milion czy więcej szwedzkich koron wydano na zamienienie czcigodnej świątyni na coś w rodzaju najgorszej nowoczesnej kopii gotyku, w stylu wilhelmińskich Niemiec i berlińskich profesorów sztuki. Charakter i piękno zachowały tylko filary i sklepienia oraz niektóre kaplice grobowe. Grobowiec Anny Jagiellonki (Anna Jagiellonica) jest piękny w swoim bogactwie renesansu i zaćmiewa wszystkich świętych Erików i resztę królewskich grobów, nie wyłączając jej brodatego małżonka, Jana III Wazy, którego bogaty grobowiec został wykupiony z zastawu w 150 lat po zamówieniu przez ubogą dynastję.

Zamek królewski, przypominający ezerwono pomalowane koszary, ma zaledwie kilka prostych, ogromnych sal tynkowanych na szaro. Sosnowe stropy i proste, sosnowe, stojące pod ścianami stołki potęgują jeszcze wrażenie opuszczenia. Kilka mało-wartościowych portretów dawnych władców i portret Gustawa V, króla-tenisisty z bródką w szpic, upodabniająca go do nudnego lekarza chorób kobiecych z początku XX wieku — to cała ozdoba.

W ogromnej bibliotece Carolina Rediviva (800 000 tomów) jest wiele polskich prac, ale dwu książek wydanych przez krakowską Akademię Umiejętności, które były mi potrzebne, nie znalazłam.

Znaczenie ciekawiej przedstawia się Slott (zamek) Tidlö, prywatna posiadłość niedaleko Vesteras. Zbudowany przez wielkiego kanclerza Oxeńskiörna, wielkiego męża stanu, który powiedział do swego syna, następcy w kanclerstwie: „Synu, gdybyś ty wiedział, jak mało trzeba mieć rozumu, aby rządzić światem” — powiedzenie to powszechnie powtarzane brzmi: „Gdybyś ty wiedział, jakie osły rządzą światem”. Która wersja autentyczna, trudno dociec, gdyż kanclerskie archiwa o tym milczą.

Slott Tidlö wykończony w 1636. ciężki masyw holenderskiego baroku, zbudowany w kwadrat, nie zmienił charakteru od czasu kanclerza. Pełen zabytków i pamiątek nagromadzonych przez pokolenia, w niektórych salach pozostał taki sam, jakim go śmierć kanclerza i pietyzm potomków pozostawiły. Pokoje i sale, noszące nazwy słynnych osobistości, które tu nocowały, mają lekki zapach stęchłizny, antyków i tradycji. Cudne zegary, sepety, skrzynie ra-

bowane po wszystkich stolicach Europy „uwalnianych” przez woj-ska szwedzkie, gromadzone były skrzętnie przez zapobiegliwego sternika nawy państwowej. Dzisiaj robią wrażenie nierealne, gdyż bogate życie magnaterii szwedzkiej należy widać do przeszłości; zamek, drzewo, służby niewiele a nawet duchy nie straszą. Królowa Krystyna, na której łożku pod wspaniałym baldachimem spałam, ta pierwsza Semiramida Północy, najbardziej wykształcona kobieta swojej epoki, uznała, że skromna dziennikarka polska niegodna jest wizyty królewskiego ducha. O czym zresztą moglibyśmy mówić? Mody i stroje tak się zmieniły.

Nowocześni byli tylko gospodarze, których gościnność nie ustępowała w niczym polskiej gościnności.

Najstarszym miastem Szwecji jest Sigtuna, pomiędzy Sztokholmem i Upsalą. Mała, drewniana miejscina nad brzegami Malarn, po kilkuset-letnim letargu budzi się powoli do nowego życia. Dwie ogromne i luksusowe szkoły i Sigtuna Stiftelsen, fundacja któregoś z biskupów szwedzkich, nadają miasteczku nowy charakter.

Fundacja, ciekawa w swoim założeniu, goszcząc za skromną opłatą uczonych, studentów, literatów i artystów, którzy mogą przyjeżdżać na krótkie wypoczynki i pracować, ma łączyć w duchu chrześcijańskim wszystkie wyznania chrześcijańskie i wszystkie klasy społeczne. Wygodne pokoje, dobre jedzenie, bogata biblioteka, miejscowa kaplica i wspólne modły mają być podstawą wzajemnego zrozumienia.

Z okien wieży tego wespół świeckiego klasztoru rozciąga się rozległy widok: na zatokę jeziora Malarn, w obramowaniu błękitniejących z odległości sosnowych lasów, na ruiny najstarszych normańskich średniewiecznych katedr św. Piotra i św. Olafa, na białe szkoły pełne gwaru młodzieży.

Mieszkańcy Stiftelsen, typu pastorałów i starych dewotek idealizujących świat chrześcijańskiej doskonałości, z końskim apetytem pałaszujący smaczne jedzenie, zmieniają się ciągle. Całość robi wrażenie domu szlacheckich, z lekką obłąkanymi maniaków, pozostających daleko poza czasem pędzącym ku innym rozwiązaniom.

Ci nie są nawet przedwojenni. To ludzie z innej planety.

Bezpośrednio po wojnie, wygodne, obszerne budynki Stiftelsen obrócono na szpital dla Polaków wracających z obozów koncentracyjnych w Niemczech.

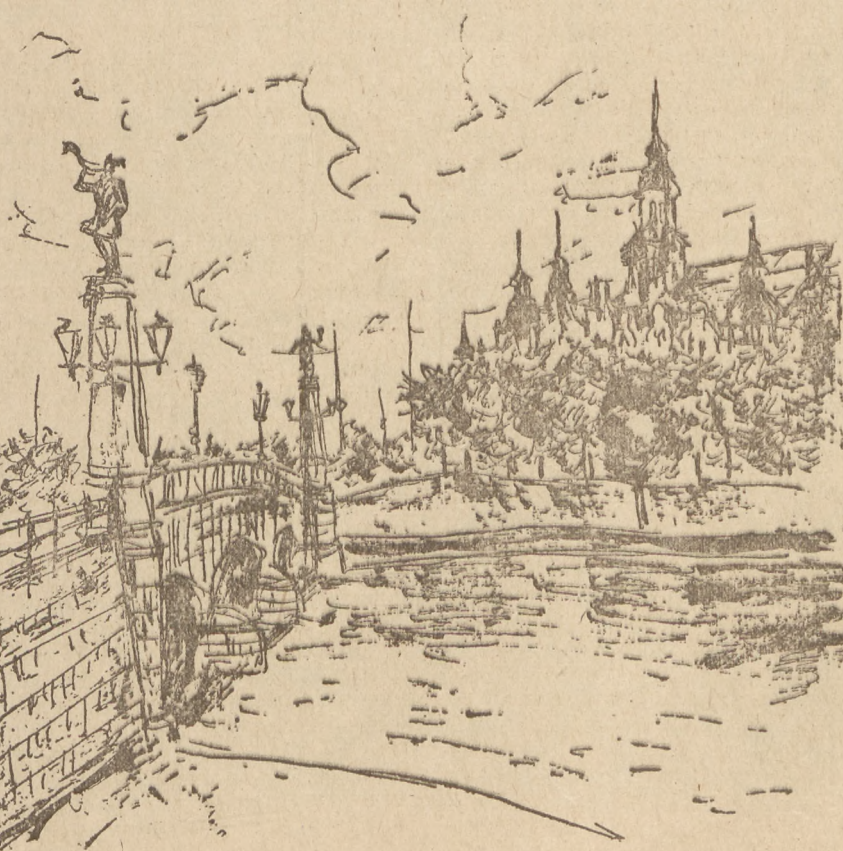
Polaków w Szwecji zostało niewiele. Poza kilku tysiącami Żydów, czekających na jakąś możliwość dostania paszportów do Palestyny czy amerykańskiej ziemi obiecanej, nie-liczna garstka emigrantów, z którą nie miałam sposobności się zetknąć, nie przedstawia problemu tak dla szwedzkich jak i polskich władz.

Zagadnienia polsko-szwedzkie ograniczają się do spraw ekonomicznych, a największą troską Szwedów jest możliwość otrzymania naszego węgla, od czego w dużej mierze zależy życie gospodarcze i możliwości produkcyjne tego pracowitego kraju.

St. Eric Massa (Targi Skandynawskie) z udziałem kilku innych państw, między innymi i Polski, trwały tydzień.

Tłumy ciekawskich gapiów i businessmenów poszukujących towarów, których brak w wygodnym świecie, co dzień zapełniały szeroko położone i rozplanowane pawilony.

Nasz pawilon, choć mały i skromny, robił dodatnie wrażenie. Ze smakiem dobre ekponaty, interesujące wykresy, personel władający płynnie językami i niezmordowanie objaśniający ciekawych były atrakcją pozaskandynawskiego działu Zaciekawienie publiczności, jaka jest obecnie Polska, jak wyszliśmy z tej wojny i co możemy produkować, dobitnie wskazywało na to, że zagranica interesuje się naszymi możliwościami.



Ostatnie wrażenie z gościnnej Szwecji to wieczorna „krafskalas“ — święto raków.

Jedzenie raków, które są narodowym przysmakiem Szwedów, przybiera z początkiem sezonu prawie rytualne formy. Migotliwe światło w ciemnej sali, kopiaste półmiski purpurowych skorupiaków, dekoracje stołu, flagi narodowe, wśród których znalazła się i polska, kojarzyły się z chóralnymi śpiewami dostosowanymi do okoliczności. Humorystyczne piosenki śpiewane pomiędzy obieraniem jednego a drugiego raka przypominały hymny kościelne i były ogromnie uroczyste. W przerwach dwu znanych powieściopisarzy szwedzkich, Waldemar Hammernhog i Harry Blomberg, odczytali swoje niedrukowane nowelki czy fragmenty powieści. Jedna z historyjek była podobno humoreską, druga nastrojona na smutną nutę. Współbiednicy zaśmiewali się z pierwszej, mieli prawie łzy w oczach słuchając drugiej.

Tłumaczono mi pointy tych podobno małych arcydzieł literatury, ale nie śmiesznego ani smutnego doszukać się w nich nie mogłam. Widocznie humor i sentyment szwedzki są dla nas niezrozumiałe.

Nie rozumiejąc ani słowa z melodyjnych recytacji myślałam sobie, jak szczęśliwy jest ten przedwojenny świat, dla którego jedzenie raków i literatura to emocjonujące przeżycia.

Ale wokół tego sielankowego świata tłoczą się groźne sprawy teraźniejszości.

Nikt nie wie, czy Szwecja długo jeszcze pozostanie przedwojennym światem, czy, przystosowawszy się do nowej rzeczywistości, podzieli los Europy.

Anna Bartling

W poprzednim 46 (103) numerze „Odrodzenia“ z dnia 17 listopada 1946 r.: Konstanty Grzybowski: Za Oceanem i nad Sekwaną. — Julian Przyboś: W Pradze po latach. — Adolf Rudnicki: Przedmowa do drugiego wydania „Doświadczeń“. — Świat chrześcijański a świat nowożytny. Ankietą „Esprit“. — Poezje: Jerzy E. Miller: ***. Andrzej Braun: Profile. — Bolesław Dudziński: Po śmierci Pawła Hulki-Laskowskiego. — Jacek Frühling: Książka zrodzona z pasji i furii. — Jan Brzoza: Na Śląsku jesienią. — Zofia Śliwicka: Sztuka, w której chciał grać Jaracz. — Tadeusz Peiper: Fantazy żeni się. — Krajobraz Ziemi Odzyskanych: Ludwik Tyrowicz: Bystrzyca (rys.). — Władysław Machajek: Za wielką młodość. — Lidia Łopatyńska: Otello 38, Martina i Gaston. — Janina Pregerówna: Wiersze obozowe. — Krystyna Kulickowska: Cztery powieści dla dzieci. — Tadeusz Konwicki: Powojenne spotkanie polonistów. — Kronika ilustrowana. — Stanisław Witold Baliński: W teatrach krakowskich. — Jacek Frühling: Brawo, Film Polski. — Tydzień bibliograficzny. — Stanisław Urbańczyk: Karygodne zaniedbanie. — tar: Bliski jest czas runięcia pieca. — kją: Szkoła krytyków: Czy Roman Bratny zostanie Victorem Hugo? — Stefania Łobaczewska: Życie muzyczne w Krakowie. — Korespondencja (Jolanta Essmanowska, Witold Armon, Maurycy Zielenka). — ar: Szkoła umiaru. — jap: Błok po polsku. — Hieronim Sartowski: Szkolnictwo zawodowe. — gi: Stanisław Grabski. — Kazimierz Wyka: Duchy poetów podsłuchane. — „Majątek albo imię“ Korzeniowskiego w Poznaniu. — tar: Wina i kara. — gi: Wybryki „Tygodnika Warszawskiego“. — tar: Z ryngrafem czy bez ryngrafu? — 13 ilustracji. — 12 stron.

TADEUSZ DOBROWOLSKI

Jeszcze o przestrzeni malarskiej i „pluralis maiestaticus“ czyli dr Jekyll i mr Hyde

Ten nieco dziwaczny i przydługi tytuł tłumaczy się tym, że w numerze 95 „Odrodzenia“ pojawiły się aż dwa wymierzone przeciwko mnie artykuły, a raczej artykuł i artykułik, jeden pt. „Przestrzeń piechura i przestrzeń ptaka“ (str. 5), podpisany przez Juliana Przybosia, drugi pt. „Pluralis maiestaticus“ (str. 11), podpisany przez jp. Pierwszy utrzymany w tonie względnie spokojnym, czego o drugim powiedzieć nie można. Stąd to skojarzenie z bohaterami, a raczej bohaterem powieści R. L. Stevensona, który to bohater cierpiał na znane w psychiatrii rozdwojenie jaźni, zresztą zawinione przez niego samego. Raz był przeciętnie normalnym dr. Jekylllem, drugi raz jako Hyde demonstrował swój kompleks, jaki „toute proportion gardée“ — przywodzi mi na myśl „majestatową“ monomanię pana jp.

Artykuł J. Przybosia pt. „Przestrzeń piechura i przestrzeń ptaka“ wydał mi się bardzo zabawny dla zawartej w nim ekwilibrystyki dialektycznej, próbującej pogodzić dwie trudne do pogodzenia rzeczy, mianowicie: niechętnie przyznając, że moja analiza obrazów Bonnarda jest trafna, oraz dalsze lansowanie apriorycznej wiary w mój brak wrażliwości plastycznej. Niezłomność tej wiary mogłaby przynieść zaszczyt autorowi, gdyby nie dziwne sposoby, jakimi się w niej umacnia.

Jednym z nich jest niefrasobliwy a regulowany doraźną potrzebą stosunek autora do moich tekstów, polegający albo na ich przekręcaniu, albo na imputowaniu mi słów lub przynajmniej myśli, o jakich mi się nie śniło. Na okoliczność tę, jak mówią w sądzie, przytaczam dowody. Autor wkłada np. w moje usta „tapetową płaskość“ Bonnarda, chociaż

tęgo wyrażenia nigdy nie użyłem. Nie wiem, na co liczy J. Przyboś ujmując te dwa wyrazy w cudzysłów, czy na krótką pamięć czytelnika, czy na moje zniechęcenie do sprostowań — a może ulega po prostu „poetyckiej“ fantazji. Wbrew informacji J. Przybosia nigdzie nie „zaryzykowałem twierdzenia, że ten lub ów sposób (przedstawienia przestrzeni) jest jedyny i doskonały“. W innym miejscu stwierdza autor o mnie „...nie zestawia już Bonnard z Matissem, nie twierdzi już, jak poprzednio, że Bonnard maluje przedmioty, które tworzą — tak jak u Matisse'a — dywanowe, nieprzestrzenne powierzchnie“. A przecież w swym artykule na temat hermetyzmu w malarstwie pisałem dosłownie o obrazach Bonnard, że „ich frenetyczna, to znowu finezyjna i ściszo-na barwność oraz wyjątkowo bogata faktura warunkują ich **pełną inność w stosunku do sztuki Matisse'a**“.

Jeśli więc widziałem i widzę u Bonnard „dywanowe, nieprzestrzenne powierzchnie“, to na pewno inne niż u Matisse'a, jak również inne od sugerowanych mi przez J. Przybosia.

Dopatruje się on też we mnie naiwnego realisty z tego powodu, że widzę przestrzenność Hobbemy, która rzekomo bardziej mi odpowiada od przestrzeni impresjonistów i Bonnard. Ciekawym, skąd J. Przyboś to wie? Albowiem z faktu, że rozumiem zarówno przestrzeń Hobbemy jak i Bonnard żadną miarą wynikać nie może, iż percypuję tylko przestrzenność Hobbemy. Jeśli zaś J. Przyboś jest niezadowolony, że zamiast zestawiać obrazy Bonnard z obrazami Matisse'a (co jego zdaniem byłoby słuszniejsze), porówna-

łem pejzaż Hobbemy z pejzażem Bonnard, to już nic na to poradzić nie mogę. Zestawienie moje służyło bowiem nie do wykazania analogii czy różnic między współczesnymi artystami, lecz do przeciwstawienia sobie dwóch obrazów, odległych od siebie zarówno chronologicznie, jak formalnie. Było to uzasadnione historycznym ujęciem tematu. Zapewne byłoby jeszcze lepiej, gdybym w swym artykule zilustrował wszystkie omówione przez siebie epoki, ale nie było na to miejsca.

Z właściwym sobie taktem, z ogromną satysfakcją, ba — niemal z rozkoszą (nie trudno to wyczuć okraszając J. Przyboś swój artykuł takimi zwrotami pod moim adresem, jak: „Nie ośmiela się już jednak twierdzić wprost, bez ogródek i bez tego słówka „raczej“, wstydliwie **maskującego** swój dawny błąd, że malarstwo Bonnard jest płaskie“ (podkreślenia moje). Wielkie słowa, wymierzone w próżnię! J. Przyboś pomija bowiem lojalnie moje uprzednie wyjaśnienia w tej sprawie. Muszę więc je przypomnieć. Z wyjaśnień tych wynikało, że w pierwszym artykule posłużyłem się w odniesieniu do przestrzeni obrazowej Bonnard dopuszczalnym w nauce skrótem, dlatego, że chodziło o sprawę zupełnie drugorzędną, a rozdętą potem przez mego antagonistę, — nie przewidując, iż natknę się na czytelnika, który z maniakalnym uporem zechce obstawać przy fałszywej interpretacji moich określeń. Przy sposobności wspomnę, że kiedy po pierwszym artykule J. Przybosia zapytawałem, dla celów eksperymentalnych, znajomych mi malarzy, czy dostrzegają nieprzestrzenność Bonnard, odpowiadali z reguły, że tak. Od razu bowiem jako fachowcy kojarzyli

właściwie moje słowa z zawartą w nich intencją. Skojarzenia te następowały u nich odruchowo z błyskawiczną szybkością, jakże różną od powolnego myślenia wszechwiedzącego J. Przybosia.

Skojarzenia te były możliwe tym więcej, że w stosunku do powierzchni obrazowych Bonnard użyłem przymiotnika „dywanowe“, co powinno było wywołać w nim zupełnie inną asocjację, niż „tapetowa płaszczyna“ Matisse'a. Chodzi tutaj o tzw. adekwatność przenośni. Dywan posiada bowiem gruzłowatą fakturę, tapeta zaś gładką. Obrazy Bonnard odznaczają się właśnie powierzchnią raczej szorstką i bogatą, swoiście materialną, która niemal „a priori“ modyfikuje użyty przeze mnie wyraz „nieprzestrzenność“ i nadaje mu specyficzne znaczenie. Poza tym ów wyraz zyskuje ściślejszy sens dopiero w całym kontekście opisu i zabarwia się dzięki niemu inaczej niż wyrwany z całości. Ten wyraz uściśla się jeszcze bardziej przez skontrastowanie go z „tapetowością“ Matisse'a, która od razu sugeruje pewną gładkość faktury i przez to silniejszą płaskość, niż w przypadku Bonnard. Wszystkie te subtelności trafiają na ogół do świadomości dojrzałych artystów, wtajemniczonych w arkaną rzemiosła, a nie mogą trafić do świadomości J. Przybosia, który nie jest malarzem i dlatego niedobrze się orientuje w trudnej sztuce współczesnej, który, jak się zdaje, pewnych spraw z nią związanych w ogóle nie może pojąć, przynajmniej na razie. Potwierdza to moje przypuszczenie, że pełne rozumienie dzisiejszej sztuki wymaga niemal fachowego, malarzkiego wykształcenia.

Jak z tego wynika, nie mogę przyznać się do błędu, ani cofnąć swej dawniejszej charakterystyki Bonnard; mogę ją natomiast rozwijać, co zresztą już uczyniłem w swym pierwszym artykule o przestrzeni obrazowej. Mogę także dodać, że według mnie ważniejsze od samego wyrazu jest znaczenie, w jakim wyrazu użyto, jego właściwe rozumienie. Nie mogę zaś przyznać racji autorowi, że nie wolno „na pewnym obowiązującym artystę stopniu kultury malarskiej“ porównywać przestrzeni malarskiej z przestrzenią fizykalną. Oczywiście, że wolno. Przestrzeń obrazową poznajemy bowiem wyłącznie dzięki istnieniu przestrzeni fizykalnej. Gdyby jej nie było, nie można by w ogóle mówić o przestrzeni, o żadnej przestrzeni. Żywią nawet wątpliwości co do kantowskiej apriorycznej kategorii przestrzeni, ponieważ sądzę, że przestrzeń poznajemy dzięki doświadczeniu zmysłowemu.

Żeby nie mnożyć słów w dyskusji, która, bądź co bądź, jest dyskusją na marginesie, stwierdzić jeszcze muszę, iż w gruncie rzeczy J. Przyboś nie wniósł nic nowego do zagadnienia przestrzeni obrazowej Bonnard i ograniczył się do powtórzenia moich na ten temat uwag. Nowością są tylko jego zwierzenia, co do jego własnych — oraz moich operacji wzrokowych. Dowiadujemy się więc, że oko J. Przybosia „nie pełza, ale leci w plan dalekiej głębi. Błyskawicznie wpada w samo dno oddali“, bo jak dodaje jeszcze, „Przestrzeń Bonnard jest przestrzenią... wieku kina, wieku samolotu i rakiety“.

Ano, może sobie J. Przyboś latać rakieta lub bez rakiety od jednego do drugiego planu przestrzeni obrazowej Bonnard. Dobrze, że podsunąłem mu do latania „Pejzaż z papugą“, bo tutaj może jeszcze latać, przynajmniej w kółko, między pierwszym a drugim planem obrazu; — gdyby jednak zechciał latać w obrębie płytkiego „wnętrza z myjącą się kobietą“, szybko by sobie poobtlukiwał boki, a gdyby jeszcze rozwinął swoje ptasie skrzydła i zerwał się do lotu w ramach pejzażu „Ulica w E-ragny“, to już po upływie sekundy uderzyłby głową w płaską ścianę domu w obrazie Bonnard, nabiłby sobie potężnego guza i machnąłby jeszcze potężniejszego koziołka. Co do mnie, to na takie latanie nie mam czasu ani ochoty.

Natomiast, chociaż zbudowany jasnowidztwem J. Przybosia, doznaję równocześnie pewnego zdziwienia, że wie on tak dobrze, co się dzieje we mnie i jakie to mam kłopoty ze swoim „leniwym“ okiem. Niech się jednak nie martwi, bo mi

MALARSTWO POLSKIE



AŁOJZY MAJCHER (1907—1941)

Akt

Już ukazał się 104 numer

„TRYBUNY WOLNOŚCI“

o następującej treści:

Józef Kowalczyk — Na bieżące tematy

Mieczysław Popiel — Zagadnienia planu trzyletniego

Aleksander Litwin — O planową organizację rynku

Józef Kapliński — Powstanie i upadek rządu ludowego 1918

Przed wyborami

Podział na okręgi wyborcze

Na widowni międzynarodowej

„Pax Americana“

Zwycięstwo demokracji ludowej w Bułgarii

Sesja Zgromadzenia Generalnego ONZ

Budżet pierwszego roku nowej pięcioletniej radzieckiej

Ruch robotniczy za granicą

Kongres angielskich zw.zawodowych

Z życia Francuskiej Partii Komun.

Na łamach prasy

O kontrolę cen i walkę ze spekulacją

Słowne deklaracje a czyny

Z życia Partii

Kalendarz wydarzeń

to oko najzupełniej wystarcza i — niech mi mój oponent daruje szczególność — ale nigdy bym nie zamienił swego oka piechurą na oko ptaka — Przybosa. Przy sposobności pozwałam sobie jeszcze zwrócić uwagę na błąd, zapewne zecerski. Cytowany przez J. Przybosia renesansowy teoretyk sztuki, autor „Elementi di pittura”, „La Statua” i „Della pittura libri III” nazywał się nie Albertini, lecz Alberti, dokładnie Leon Battista Alberti. Niejaki Albertini był podobno żonglerem w cyrku Barnuma.

Grzeczność wymaga, żeby odpowiedzieć z kolei na drugi artykuł. Pisze w nim jp. (Mr. Hyde), co następuje: „pewien krytyk — z powagą równą brakowi humoru broni „pluralis maiestaticus” jako formy... skromniejszej. Wmawia, że pluralis maiestaticus stosują powszechnie Francuzi. Osobliwe to znawstwo francuszczyzny — ja nie spotkałem (podkreślenie moje)... we współczesnej krytyce francuskiej pisarza, który by się w ten sposób nadymał. Nigdzie, oczywiście, nie brak zesłowiecznych dziwaków, ...sądzę jednak, że ludzi pozbawionych wdzięku i pokrywających ten brak ociężałą powagą — mniej spotkać można właśnie we Francji”.

W odpowiedzi na smutny fakt, iż jp. nie spotkał we współczesnej krytyce francuskiej pisarza, który by używał formy „my” (nie jestem filologiem, ale wydaje mi się, że forma ta nie zawsze się pokrywa z „pluralis maiestaticus”), miło mi zakomunikować, że przypadkowo mam listopadowy numer „Arts” z r. 1945 i majowy numer „Quadrige” z r. 1946, w których to numerach odnalazłem w ciągu kilku minut kilkanaście przykładów formy „nous”. Ponieważ jp. nie wierzy mi na słowo, a nawet mi zarzuca, z właściwą sobie delikatnością, osobiście znawstwo francuszczyzny, muszę zacytować kilka pierwszych z brzegu przykładów. Na pierwszej stronie cytowanego nr. „Arts” zaczyna C. Roger-Marx jedno ze zdań swego artykułu „Vers un nouvel académisme pictural”, cytowanego już przeze mnie w nr 95 „Odrodzenia”: „*A notre sens, l'erreur fondamentale d'un certain nombre de peintres...*” itd., a o kilka wierszy poniżej dodaje: „...à quoi assistons nous?”. W Quadrige (str. 9) cytuję René Huyghe słowa znakomitego uczzonego Louis de Broglie: „*Plus nous descendons dans les structures infimes de la matière, plus nous nous apercevons que les concepts forgés par notre esprit...*” itd., — a sam w artykule „Le temps de l'absurde” pisze: „*Ne nous laissons point aller toutefois au romantisme d'une panique inconsciente. Nous assistons...*” itd. (str. 9). W tym samym piśmie na str. 17 rozpoczyna Gaston Ferdière swój artykuł „Le poète fou” słowami: „*Si la littérature psychiatrique, les livres comme „Poésie et Folie”, „nous fournissent...*”, a Maurice Betz w „Querelles sur l'intelligence” (str. 20) skłatakuje zdanie w ten sposób: „...*nous nous voyons ainsi conduits à refuser à Proust la qualité de psychologue, à dénier à la pensée de Valéry le nom d'intellectualisme...*” Jak wspomniałem, cytaty te są częściowym plonem pięćminutowej kwerendy. Nie szukałem dłużej, żeby nie nudzić czytelnika i siebie.

jp. zarzuca mi pośrednio brak wdzięku i poczucia humoru. Mój Boże, cóż robić, kiedy Opatrzność nierównomiernie rozdziela swe dary. Nie wszyscy mogą czarować swym wdziękiem i poczuciem humoru, jak jp. Co prawda, jego gatunek humoru wydaje mi się dość osobliwy, bo jak na mój gust, za obficie podlany żółcią. Wreszcie chemiczny skład tego humoru uważam za dość jednostronny; same bowiem „kwasy” i nic więcej. Na taki humor istotnie reaguję melancholią i smutkiem.

Natomiast wdzięczny jestem panu jp. za dobre towarzystwo, w jakim mnie umieścił. Nie wiem wprawdzie, jaką pozycję intelektualną zajmują cytowani wyżej pisarze francuscy, nie wiem czy są młodzi, czy najmłodsi, czy może starzy, czy zatem mają prawo reprezentować współczesną krytykę francuską. Sądziłem prostotliwie, że pisarzem współczesnym jest osobnik współcześnie parający się piórem. Zdaniem jp. potrzebny jest na to cenzus wieku. Niech będzie i tak. Ale niezależnie od wieku Ludwika de Broglie rad

jednak jestem, że coś mnie z nim łączy, choćby to „nous”, bo de Broglie jest słynnym fizykiem i laureatem nagrody Nobla. Wprawdzie nie jest krytykiem artystycznym, ale nie widzę powodu monopolizowania formy „nous” w obrębie jakiejś szczególnej kategorii pisarzy. Chociaż jest laureatem nagrody Nobla, używa jednak nieszczęsnej formy „nous”, wobec czego zapewne i o nim napisze jp., że się „nadyma” i do niego zastosuje 257 maksymę de La Rochefoucaulda, którą Boy tak tłumaczy: Powaga jest obrządkiem ciała, wymyślonym dla pokrycia braków ducha.

Samotność Karola Pégu. We Francji wzrasta zainteresowanie życiem i twórczością poległego w poprzedniej wojnie pisarza Charles Pégu. Dwa krytycy francuscy poświęcili mu ostatnio znakomite studia: Albert Béguin pisał o „Modlitwie Pégu”, szukając w jego twórczości śladów myśli i przeżyć religijnych, a J. P. Dubois-Dumée wydał jego biografię pt. „Samotność Pégu”, w której opowiada o tragicznych dziejach poety. Pégu zerwał z zawodem nauczycielskim, by tworzyć — ale nie znalazł nigdy głębszego zrozumienia u współczesnych. Od r. 1897, gdy jako 24-letni mężczyzna ogłosił „Jeanne d'Arc”, publiczność bojkotowała jego książki, które były zbyt dla niej zbyt nową. W r. 1900 próbuje Pégu „rozerwać tragiczny łańcuch” zakładając wydawnictwo „Cahiers”. Ale nigdy nie zebrał więcej ponad 1200 abonentów. Wreszcie, po 12 latach działalności zdobywa w r. 1909 nagrodę Akademii. Ale wkrótce znów zapomina o nim — lecz Pégu dumnie czyni wszystko, aby nie zubożyć ze swej trudnej drogi. W gwałtownych паміаіах atakuje on wpływowch krytyków, polityków i uczonych. Nie chce wstąpić do żadnej partii, gdyż sądzi, że równałoby się to „kupieniu biletu na podług bez prawa badania, jak toczą się kłóty”. Wierzy, że nie należy Pégu do Kościoła katolickiego ze względu na swe małżeństwo.

Problem niemiecki jako fragment problemów świata. Krytyk i publicysta katolicki Albert Béguin wydał książkę pt. „Faiblesse de l'Allemagne”. Autor jest znakomitym znawcą problemów niemieckich; podróżował dużo po Rzeszy w latach przedwojennych, pisał o zbrodniach popełnianych w obozach koncentracyjnych już w r. 1933, korespondował z Niemcami-antyhitlerowcami. Jego książka jest aktem oskarżenia przeciw narodowi niemieckiemu — ale nie pomija win całego świata. Stanowisko Béguina jest następujące: „Hitler postawił Niemcom i światu pytania, które były pytaniami człowieka upokorzonego i żądnego odwetu osobistego oraz narodowego — ale te same niepokoję, tylko w bardziej nie winnej formie, nie przestając wzburzać ludów tak długo, dopóki nie dokoną się rewolucja naszego stulecia... Gdy Niemcy podejmują apologię siły i przemocy, ukazują nam w powiekach zwierciadła — nasze własne szaleństwa... Czy nie winniśmy przypuszczać, że poza ciężką, szczególną winą Niemiec, istnieje winna i kryzys wspólne wszystkim ludziom tej epoki?”.

Zagadnienie powieści katolickiej. Daniel Rops powraca w tygodniku „Témoignage Chrétien” do dyskusji na temat problemów powieści katolickiej. Maurice i krytyk Charles du Bos powiedzieli kiedyś, że: „pierwszym obowiązkiem powieściopisacza katolickiego jest — mówić prawdę”. Pisarz chrześcijański nie może być „budującym” w popularnym sensie tego słowa — gdyż przestałby być pisarzem, a jego myśł nabralaby posmaku faryzejskiego. Odpowiedzialność za użytek zrobiony z książki spada przede wszystkim na czytelnika. Trzeba chronić pewne kategorie czytelników od dzieł nieodpowiednich. Natomiast kraj czytelników najbardziej zatwardziałych w grzechu może być wstrząśnięty tym mocniej im prawdziwiej ukazuje pisarz

A może wybaczy to łaskawie księciu de Broglie z uwagi na jego światowe nazwisko. W takim przypadku musiałbym poinformować jp., że podług utartych obyczajów wszystkim pisarzom, a zatem i krytykom wolno się posługiwać formą „my” niezależnie od ich znaczenia, wieku, wzrostu, zdrowia i apetytu.

Na zakończenie jedna propozycja — serio pod adresem moich przeciwników, mianowicie, żeby przyjąć pewne reguły gry polemicznej. Reguły te powinny polegać na następujących wytycznych: 1. Nie przekształcać tekstów przeciwnika ani nie fantazjować dowolnie na ich temat;

chrześcijański — obraz Zła. Zło jest jednak dla pisarza katolickiego nie tylko problemem psychologicznym — ale i metafizycznym. Zło jest dla niego „nieobecnością, brakiem, śmiercią”. W duszy najbardziej nikczemnej z przedstawianych przez niego postaci musi powieściopisarz katolicki odkryć zakatki, do których może przeniknąć miłosierdzie.

Francuska „Nagroda Młodych”. Pamiętam przedwojenną nagrodę „Młodych” Polskiej Akademii Literatury, pomyślaną nie najpóźniej i nie zawsze przyznawaną w sposób szczeniawy. We Francji ufundowano obecnie podobną nagrodę, ale z tą różnicą, że może ją otrzymać pisarz, który jeszcze nie opublikował więcej niż 2 książki tego samego rodzaju. Nagroda jest poświęcona pamięci Stendhala i wynosi 100 000 fr. W skład jury wchodzi m. in.: Al. Arnoux, Jean Cocteau, Léon Paul Fargue, Julien Green, Gabriel Marcel, Thierry Maulnier i Patrice de la Tour du Pin.

Stulecie Léona Bloy. W stulecie urodzin Léona Bloy, które przypało na dzień 12 lipca 1946, tygodnik „Temps présent” poświęcił mu kilka artykułów. Redaktor pisma, Stanislas Fumet pisze: „Liryzm Bloya, dostojność jego formy, płaszczy gwiezdny, którym przykrywał ramiona swej namiętej i spragnionej miłości literatury, poszukiwanie przymiotnika rzadkiego i rzeczownika imponującego śmiałością — wszystko to wypływało z troski o prawdę wyższego rzędu, o której dalsi pisarze nie mają pojęcia. Są skąpi — a Bloy był hojnością. Są leniwi — a Bloy sądził, że trzeba cyzelować swój styl, wybierać najbardziej rzadkie i ciężkie kamienie i nad każdym szczegółem pracować”. Fumet przypomina także, że Bloy był ulubionym pisarzem za czasów Ruchu Oporu, że dalsi pisarze katolicki francuski zawdzięcza mu wiele, a zwłaszcza to, że jest „antykonformistyczny i antytradycyjny, że gloryfikuje biednego, a przeklina bogatego, że dąży do tego, by nie zostawić bez odpowiedzi sprawy ludzkiego cierpienia”. Jako najpiękniejsze książki Bloya wymienia Fumet: „Kobieta biedna”, „Zroczony”, „Zbawienie za sprawą Zydów”, „Krew biednego”, „Dusza Npoleon”, „Joanna d'Arc”. W tym samym numerze pisał na temat Bloya: Georges Cattan, poeta Pierre Emanuel, Albert Béguin (który porównuje Bloya do Pégu), oraz Jacques Maritain. 27 czerwca w Domu Chemii adwokat paryski, Gabriel Olivier, wygłosił odczyt pt. „Wielkość Léona Bloy”.

Jubileusz adarnmiony przez gestapo. 7 czerwca 1943 uczniowie i przyjaciele wybitnego filozofa katolickiego, Maurice Blondela, zebrał się, by uczcić 50-lecie ukończenia się słynnej jego pracy „O działaniu”. Gestapo wpadło na trop tego zebrań, rozepędziło je i skoniowało przygotowane dzieło pamiątkowe. Odtworzone je jednak i wydano z 3-letnim opóźnieniem. Filozofowie francuscy z L. Brunschwigiem na czele składają hołd swemu mistrzowi. Blondela wywarł wielki wpływ na nowoczesną apologetykę, filozofię, dogmatykę i socjologię katolicką. Z tej jego blizze między innymi powstał wydat przed wojną książkę prze-wy hitleryzmu pt. „Walka o cywilizację czyli filozofia pokoju”.

2. Przez tego rodzaju zabiegi nie wprowadzać w błąd czytelnika; 3. Unikać demonstracji żółciowego humoru; 4. Prowadzić dyskusję na płaszczyźnie wyłącznie rzeczowej. W przeciwnym razie polemika nie będzie miała sensu, a za to będzie się wlokła w nieskończoność. Ponieważ zaś nie lubię tracić czasu na rzeczy pozbawione sensu, w razie dalszego stosowania przez mych antagonistów dotychczasowych manier polemicznych, przyjdzie mi chyba wycofać się z brzydkiej w gruncie rzeczy zabawy, jaką niektórzy z nich uprawiają.

Tadeusz Dobrowolski

Dwie książki o średniowieczu. Tegoroczną nagrodę „Femina” otrzymała pani Vacaresco za źródłową pracę historyczną na temat średniowiecza. Równocześnie wydano antologię poezji medievalnej pod redakcją Reginy Pernoud z uniwersytetu w Aix-en Provence.

Narodowe stypendium literackie istnieje we Francji od r. 1906. Ufundowało je ministerstwo oświaty i sztuki. Obecnie wynosi ono 48 tysięcy franków. Przyznane będzie w listopadzie br. poecie, obywatelowi francuskiemu, liczącemu mniej niż 45 lat, który nie otrzymał jeszcze dotąd nagrody.

Na cześć poległego pisarza. Aby uczcić pamięć poległego w r. 1940 na froncie pisarza Guy de Lorigaudie, ufundowano nagrodę, przyznawaną corocznie w kwocie 50 000 franków za książkę dla młodzieży.

Nagrodę Gombourta za rok 1946 przyznał Fr. Ambrière, autorowi książki „Wielkie wakacje” („Les Grandes Vacances”), która opisuje dzieje 5-letniego pobytu w obozie jeńców i licznych prób ucieczki. Potrzebę wolności, dążenie do swobody uważa autor za podstawowe prawo ludzkiego życia.

Oskarżenie przeciw Chateaubriandowi. Ostatnim pisarzem francuskim, który ulegał czarowi Chateaubrianda, był Barrès. Dziś Chateaubriand jest zapomniany i wyklęty. Zarzuca mu się nieszczerść, nieautentyczność i pozę. Jednakże na banknotach 500 frankowych umieszczono jego podobiznę.

„Nie był przyjacielem Francji”. „Gerhard Hauptmann” — pisze w nekrologu tygodnik francuski „Temps présent” — „który okazał się oportunistą w polityce, nie był przyjacielem Francji”.

Daniel Rops — laureatem. Tak zwana „wielka nagroda literacka” Akademii Francuskiej otrzymał w roku obecnym Daniel Rops, powieściopisarz katolicki, wymieniany często na trzecim miejscu po Mauriacu i Bernanosie, autor powieści „Mort ou est ta victoire?” i „Epee de feu”, oraz essay'ów „Le Monde sans âme” i „La misère à nous”, historyk religii („Historia świata”) i „Jezus na tle swego czasu”, wreszcie autor 3 studiów psychologicznych o królu Amenophisie, tajemnicy Izraela i Pascala. Daniel Rops politycznie należy do tych młodych katolików, którzy oskarżają „skandaliczną tyranię pieniądza”, potępiają materializm burżuazyjny z punktu widzenia filozofii chrześcijańskiej. Niektóre z dzieł Ropsa tłumaczyła u nas przed wojną Maria Wińska.

Francja mogła się bronić w r. 1940. André Champonson postanowił nie opublikować ani jednego słowa w czasie okupacji. Słowa tego dotrzymał. Pisał natomiast potajemnie trzy książki, które wyszły obecnie: „Les Fruits de miracles” na temat moralnego oporu wobec Niemców i rzędu Vichy, „Liber veritatis”, pamiętnik literacki autora, który, zanim został powieściopisarzem, marzył o powołaniu poety i wreszcie „Le dernier village”, powieść o 2 oficerach francuskich, którzy postanowili wśród ogólnej paniki 1940 roku bronić pewnej poezji — i zamiar swój wykonali do końca. Zdaniem autora można się było bronić w r. 1940, a klęskę spowodowała jedynie stałość i zdrada naczelnego dowództwa. wn

niemieckich, przede wszystkim na von Brauchitscha, by wreszcie położył kres zbrodniom, łajdactwom i bezceństwu Hitlera, cecując niekiedy prawdziwą naiwność. Poza tym Hassel przyznaje, że nie miał w ogóle kontaktu z obcym jego strukturze duchowej ruchem masowym, że ludzie z którymi prowadził nieskończone rozmowy na temat konieczności usunięcia Hitlera byli fantastami, fałszywie oceniali sytuację polityczną, żyli w krainie złudzeń. Z wyjątkiem Schachta, którego zresztą Hassel nie lubi, uważa za megalomana i za człowieka mającego na celu tylko sprawy osobiste. (M. in. szczegółowo pisze Hassel o stosunku Schachta do Hitlera. Schacht jest wściekły, że Hitler niedostatecznie go ocenił, ale jeszcze w r. 1942 marzy o tym, by führer wysłał go do Ameryki, gdzie Schacht dzięki swoim stosunkom może doprowadzić do jakiejś wspólnej platformy między Waszyngtonem i Berlinem).

Ribbentropa Hassel nienawidzi z całej duszy, Hitlera uważa za zbrodniarza, za blazna, za człowieka, który musi doprowadzić do zagłady Niemiec. Ale zagłada Niemiec, to dla niego zagłada Europy i jej cywilizacji, to otworzenie tamy, chroniącej świat przed bolszewizmem. Wizja pokoju wygląda w oczach Hassla mniej więcej tak: Niemcy bez Hitlera, bez Ribbentropa, bez narodowego socjalizmu, kapitalistyczne, burżuazyjne, klerykalne i wielkie. Konsekwencją tego stanowiska jest wysuwanie koncepcji pokojowych, w których wschodnie granice Niemiec miałyby przebiegać wedle linii z roku 1914. Von Hassel, walczący przy pomocy niezdarnych, dzieciennych prób wpływania i przekonywania generałów — uważa że za zbrodnię hitlerowskie w imię porządku i ładu europejskiego — Niemcy powinni otrzymać premię w postaci Śląska, Poznańskiego i Pomorza!

Charakterystyczne jest nastawienie von Hassla do struktury wewnętrznej Niemiec, do kwestii, jak załatwić sprawę niemiecką, aby dogadać się z Anglosasami i uzyskać pokój w granicach r. 1914. (A więc również z niemiecką Alzacją i Lotarynią!)

Bieg myśli Hassla jest mniej więcej taki: Walcząca z nami zagranica nie ma racji, wysuwając, jako warunek rozmów pokojowych, usunięcie Hitlera. To jest wewnętrzna sprawa Niemiec. Usunąć Hitlera możemy tylko my, Niemcy. Inna rzecz, czy w okresie przejściowym, zanim generałowie zdołają zorganizować władzę i kapitulację za la Badoglio, nie należało by przez czas jakiś utrzymać przy władzy... Hermann Göringa.

Potępiając Hitlera, oburzając się naprawdę szczerze na gwałty dokonywane przez Niemców w krajach okupowanych (zdaniem Hassla winę za te gwałty ponoszą niemal wyłącznie SS i SA, a tylko w nieznacznym stopniu jest nią obciążony niemiecki dla Hassla Keitel). Hassel odnosi się nie bez pewnej sympatii do Mussoliniego, ma dużo zrozumienia i sentymentu dla różnych wybitniejszych i mniej wybitnych monarchijczyków Zachodu. Nie trzeba chyba podkreślać, że podobny jest stosunek Hassla do Watykanu i papieża.

Pamiętniki Hassla są cennym przykaznikiem do historii tzw. niemieckiego ruchu oporu. Zapewne, byli w Niemczech środowiska, które życiem zapłaciły za to, że moralnie potępiały Hitlera i hitleryzm, ale ideowe korzenie tych środowisk tkwiły mimo wszystko w narodowym socjalizmie. Przeciwwstawianie mu się nawet ofiarne, nie miało nic wspólnego z rewolucją. Było niemal wyłącznie buntem niezadowolonych i zawiedzionych, mniej lub więcej bezpłodnym protestem. Ich brak powiązania z ideologią, dążącą do przebudowy od podstaw, a przede wszystkim brak powiązania z masami, przesądził o tym, że narodowemu socjalizmowi tak łatwo było paraliżować i likwidować te bunty; że równocześnie hitleryzm potrafił w miarę potrzeby korzystać z usług tych, którzy ludzili się, i dziś jeszcze się ludzą, jakoby byli naprawdę bojownikami o jakąś sprawę.

Jacek Frühling

Czy naprawdę „inne Niemcy”?

Jeszcze jeden pamiętnik polityczny, wydany niedawno w Zurichu: Ulrich von Hassel „Vom anderen Deutschland” (O innych Niemczech). Napisany przez działacza niemieckiego „ruchu oporu” — oświecla ideologię tego środowiska.

Von Hassel, pochodzący z „dobrej” rodziny niemieckiej, był przez długie lata dyplomatą. W okresie hitleryzmu do roku 1937 piastował urząd ambasadora III Rzeszy w Rzymie; karierę dyplomatyczną rozpoczął w r. 1911 jako wicekonsul niemiecki w Genui. Będąc dyplomatą III Rzeszy, Hassel wierzący, żarliwy, praktykujący katolik, nabrał głębokiej odrady do hitleryzmu i jego metod. Porzuciwszy stanowisko ambasadora w Rzymie wszedł w krąg opozycji antyhitlerowskiej. Wmieszany w spisek przeciwko Hitlerowi, którego rezultatem był zamach na führera w dniu 20 lipca 1944, Hassel stanął przed sądem narodowo-socjalistycznym w lutym 1945 r.; zginał na szubienicy.

Hassel należy do tego samego grona ludzi, z którego wyszedł również autor „Rewolucji nihilizmu”, były

prezydent Senatu gdańskiego, Rauschning. Jest to świat o ideologii katolickiej, burżuazyjnej, kapitalistycznej. Świat, dla którego Hitler byłby, zwłaszcza w polityce zagranicznej, do przyjęcia, gdyby nie metody gwałtu i terroru, a przede wszystkim, gdyby nie bojowo antyklerykalna, pogańska, w pojęciu Hassla, postawa Hitlera i hitleryzmu wobec religii. Poza tym uchowała te ideologiczne wiara, że hitleryzm może być, zwłaszcza w czasie wojny, obalony przez niemieckich generałów i generalicję.

Jak wynika z pamiętników Hassla, działalność jego i grupki przyjaciół, wśród których byli m. in. Schacht i Goerdeler, miała za zadanie przede wszystkim wpłynąć na generalicję niemiecką, aby dla ratowania kraju przed nieuchronną zagładą obalili Hitlera i wzięli władzę w swe ręce. Rzecz znamienna, że jakkolwiek władze hitlerowskie wiedziały o opozycyjnym nastawieniu Hassla, orientowały się, albo przynajmniej przeczuwały, że przygotowuje on coś w rodzaju spisku, Hassel nie tylko korzystał w czasie wojny z zupełnej

swobody, ale w imieniu hitlerowskich Niemiec i dla hitlerowskich Niemiec wyjeżdżał poza granice III Rzeszy, wygłaszał propagandowe odczyty na temat niemieckiej nauki i kultury. Nie koniec na tym. Mimo jak najgorszych stosunków z Ribbentropem, Hassel złączony bliskimi więziami z wywiadem niemieckim, wyjeżdżał kilkakrotnie do krajów neutralnych, przede wszystkim do Szwajcarii, aby sondować opinię, spotykać się z reprezentantami zagranicy walczącej z Niemcami, przygotowywać podstawy i zasady pokoju. Jest to dowód, że hitleryzm doskonale zdawał sobie sprawę z ciężaru gatunkowego tej opozycji, na której czele stali reprezentanci starego kapitalistycznego kierunku a la Hassel. Jak długo ci opozycjoniści ograniczali się do rozmów wojny raczej papierowej, hitleryzm zamykał jedno oko, gdyż w jego rozumieniu byli to mimo wszystko „dobrzy Niemcy”. Dopiero kiedy ci „dobrzy Niemcy” przeciągnęli strunę, zaczęto im ścinać głowy.

Książka Hassla jest szczerą. Opisy prób wpływania na generałów

Dzieje niewyzyskanych możliwości

„Dzieje Prus Wschodnich w czasach nowożytnych“ Kazimierza Piwarskiego (Instytut Bałtycki, 1946) to praca mająca znaczenie naukowe i polityczne. Nauka polska zyskuje pełny obraz całego zagadnienia wschodnio-pruskiego, od hołdu krakowskiego w roku 1525 do września 1939. Polityczne znaczenie książki Piwarskiego tkwi w samym sposobie ujęcia zagadnienia. Polityczne znaczenie mają te dzieła naukowe, które osnute są około jednej, zasadniczej, konsekwentnie przeprowadzonej myśli.

Takim dziełem były kiedyś „Dzieje Polski“ Bobrzyńskiego. Omawiając zagadnienie „rządu“, rozwinął wielki myśliciel obszerną koncepcję historyczną. Gospodarcze, społeczne i ideologiczne przyczyny, które sprawiły, że nie było silnego rządu, jak i gospodarcze, społeczne i polityczne skutki wynikłe z braku takiego rządu w Polsce — tworzą oś, wokół której przedstawiono obraz naszej przeszłości i wysnuto wnioski, jaką drogę rozwoju należy obrać w przyszłości. Tylko tak ujęte dzieło historyczne stawia problemy żywe.

Książka Piwarskiego należy do dzieł tego typu. Osnuta jest wokół jednej myśli: jakie były możliwości inkorporacji Prus Wschodnich do Polski w okresie pierwszej Rzeczypospolitej, dlaczego tych możliwości nie wykorzystano i jakie były skutki niewyzyskania ich. Autor przeprowadza analizę sytuacji, w których układ sił międzynarodowych pozwalał na zlikwidowanie niemieckiej enklawy w organizmie polskim — i wskazuje przyczyny, dla których to nie nastąpiło. Mówi o siłach społecznych — o opozycji stanów pruskich przeciw ich brandenburskim władcom — które mogły się stać sojusznikiem polskim, i stwierdza, że nie nie uczyniono, by te siły wzmocnić. Analizuje siły narodowe — żywił polski w Prusach — które mogły się stać trwałą podstawą rządów polskich, i wykazuje, że bierność polska umożliwiła ich germanizację.

Wnioski polityczne: Polska jest bezsilna wobec niebezpieczeństwa niemieckiego wtedy, gdy jej polityka zagraniczna jest wielokierunkowa i kiedy jej lojalność i możliwości pomocy wzbudzają u sojuszników wątpliwości. Nie tylko okresy, kiedy byliśmy słabi na wschodzie (wojny kozackie), osłabiały naszą nieustępliwość wobec żądań pruskiego lennika — ten sam skutek miała nasza imperialistyczna ekspansja na Wschodzie i próby ofensywnej polityki na południu, wobec Turcji. Tylko jednokierunkowość polskiej polityki zagranicznej i lojalność wobec sojusznika (zwłaszcza gdy ten jest od nas silniejszy) daje Polsce gwarancję aktywnej i skutecznej polityki wobec Niemiec.

Wniosek drugi: jeżeli polska polityka wobec Niemiec ma możliwości zyskania oparcia w niemieckiej grupie politycznej, powinna się na niej oprzeć, nawet gdy jej poglądy polityczne i struktura społeczna nam nie dogadają, a ideologia innych niemieckich grup politycznych bardziej nam odpowiada. Szlachta polska nie popierała miast pruskich w ich walce z elektoratami, bo mentalność mieszczańska była jej obca (nie popierała zresztą i szlachty pruskiej, uważała ją bowiem za gorszy rodzaj szlachty, dlatego że była luterska i współzależna z miastami). Nie należy powtarzać tego błędu. Jeśli są dziś w Niemczech takie grupy polityczne, które o koncesjach terytorialnych na rzecz Polski, poza granicami 1939 r. nie chcą nawet słyszeć, i jest taka grupa polityczna, która gotowa jest dziś dyskutować na ten temat (a kto dziś jest gotów dyskutować, ten jutro uzna fakty dokonane) — trzeba ją poprzeć i w miarę możliwości nawiązać z nią kontakt. To druga nauka polityczna z dzieł Prus Wschodnich.

Nauka trzecia: nie usuwać na drugi plan takich zagadnień międzynarodowych, których możliwość rozwiązania nadarza się raz na setki lat — dlatego tylko, że się nie rozwiązało pewnych zagadnień wewnętrznych. Opozycja wobec rządu nie może go krępować w podejmowaniu decyzji w sprawach dotyczących polityki zewnętrznej. Nie moż-

na — nawet wtedy, gdy się rząd, słusznie w swym mniemaniu, zwalcza, nawet wtedy, kiedy się jego metody rządzenia na wewnątrz uważa — za wadliwe — zwalczać go w sposób, nadający mu, jeśli nie w zamiarach to w skutkach, charakter rządu „tymczasowego“, co osłabia jego autorytet i krępuje go w podejmowaniu decyzji na terenie międzynarodowym — co odrywa uwagę rządu od polityki zewnętrznej na zagadnienia wewnętrzne, co stwarza jeśli nie fakty, to w każdym razie pozory, że naród kwestionuje jego politykę zagraniczną. Nie można powtarzać błędów polityki sejmów przedrozbiorowych, które w obawie, iż wzmocnią króla, nie chciały wzmocnić państwa.

Ustroje wewnętrzne państw zmieniają się. Układ społecznych i politycznych sił wewnątrz państwa jest zmienny. Sytuacje międzynarodowe są często niepowtarzalne. Niewyzyskane możliwości na terenie mię-

dzynarodowym nie powtarzają się często po raz drugi. Są takie okresy, w których prymat zagadnień wewnętrzno-politycznych niczym nie grozi, ale są i takie, w których poświęcenie uwagi tylko tym zagadnieniom otwiera przed państwem drogę do przyszłej katastrofy. Zdarza się czasem w historii, że niezdecydowanie i zmienność w polityce międzynarodowej jest właśnie rozumem politycznym, ale bywa i tak, że to niezdecydowanie jest polityczną głupotą.

Przedstawione przez Piwarskiego dzieje zmarnowanych możliwości polskich w Prusach Wschodnich wskazują, że nasza polityka wewnętrzna w przeszłości wybierała często drogę, która prowadziła nas do nieuniknionej katastrofy, że w naszej polityce zewnętrznej obieraliśmy często drogę politycznej głupoty. Są ostrzeżeniem, siłą przedstawionych faktów, bez jakiegokolwiek tendencji autora. A to jest największa zaleta, jaką może mieć dzieło historyczne.

Konstanty Grzybowski

„Nurtu“ ciąg dalszy

Wzdłuż całego Corso towarzyszy jej brawa rzesiste za te barwy żyworodne, za te poręczyki, furkające nad brawurowym impetem koni i ludzi. — Nie mogli się dość nadziwić i nakłaskać.

(Wacław Berent: „Nurt“)

Na Polki, pozostałe we Włoszech, miejscowa ludność rzuciła już kamieniami. Są to Polki, które oczekują potomstwa w miesiącach najbliższych. Ilość ich wynosi około trzydziestu. Stłoczone są w lokalu, w którym nie powinno się znajdować więcej niż sto osiemdziesiąt. Te kobiety ciężarne, do niedawna jeszcze pełniące służbę czynną w Polskich Siłach Zbrojnych, miały — wedle najbardziej solennych zapewnień — przybyć do Anglii w pierwszej kolejności, przy czym gwarantowano jakieś okręty czy pociągi sanitarne. Minęły cztery miesiące od owych zapewnień, żołnierze polscy niemal opuścili już Włochy, ewakuacja dobiega już końca, a te kobiety, żony i matki in spe, czekają zmiłowania boskiego. Mieszkają „w walizkach“, śpią na podłodze, gdyż nie ma łóżek dla żon tych żołnierzy, których do niedawna zwano „liberatori“. Oklaskiwano tych żołnierzy właśnie tak, jak, o czym pisze Berent, oklaskiwano niedawno legie Dąbrowskiego.

Zachłystujemy się byle głupstwami. Jeszcze do dziś dnia spotkać można w gazetach wiadomość o jakimś sztan-dardzie, wręczonym odjeżdżającym Polakom przez Włochów, przez Holendrów, przez Belgów itd. Czytamy o uroczystych pożegnaniach, o poświęceniu tej czy innej tablicy pamiątkowej, o powierzeniu tego czy innego cmentarza opiece miejscowych władz, a tymczasem sytuacja wygląda prosto: ludność krajów uwolnionych mówi do wyzwolicieli, żeby sobie poszli jak najprędzej do diabła.

Tęgo faktu nie możemy zmienić. Dlaczego zresztą np. Włoch ma się dać prześcignąć w niewdzięczności np. Holendrów? Dlaczego ma zachować Polaków we wdzięcznej pamięci, skoro tego Polaka przeklina np. Szkot lub Norweg? Jeśli Amerykanin bije Polaka w Niemczech, dlaczego Włoch ma Polaka głaskać? Jeśli pod każdą szerokością geograficzną, wszędzie, w każdym kraju, sprzymierzonym czy neutralnym, spotyka żołnierza polskiego wrogi stosunek, dlaczego we Włoszech polscy „liberatori“ mają cieszyć się sympatią miejscowej ludności? Świat sparszywał, jego przykazaniem jest krzywdą, jego hasłem nienawiść, jego religią podłość.

Sprawę wysiedlenia z Włoch i rozbrojenia Polskich Sił Zbrojnych zala-twił: globalnie i na gebę. Stało się. Niemniej, może bodaj we własnym zarządzie daloby się pewne sprawy jakoś po ludzku załatwić. Sprawa matki, oczekującej dziecka, jest a raczej powinna być sprawą najbardziej ludzką, najbardziej każdemu stworzeniu, godnemu miana człowieka, leżącą na sercu.

Książka Berenta o Dąbrowskim jest jedną z najbardziej gorzkich książek w naszej literaturze. Czytana dzisiaj, odbiera sen. Znalazłem w niej moment wysoce bolesny, który mówi o tym, że jakiś skrzywdzony przez rodaków legionista „uczynił wyrok, że nie chce więcej wiedzieć i słyszeć o Polakach“.

Otóż, podobne rzeczy zdarzyło mi się czytać w listach jednej z owych Polek, poniechanych w Bari czy w Trani. Więc mieszkają „w walizkach“, na podłodze. Więc dom, w którym mieszkają, został zakupiony przez Włochów ze spadku po faszystach. Czyli trzeba się pozbyć

lokatorów. Włosi włączają do izb, nie płacąc, włączają się po całym domu. Jedzenie skąpe, czyli trzeba wyjść na miasto i kupić trochę prowiantów. Wycho-dzą tedy owe matki in spe, ale na ulicach spotyka je obelga, krzyki, wymyślania, i padają, wspomniane już w wstępie, kamienie.

To przykre, bardzo przykre, ale jeszcze gorszą rzeczą jest reakcja Polaków na dolę tych kobiet. Oto, jakiś pośledni wódz, gdy przyszły do niego owe kobiety, zirytował się i powiedział: „A czemuście nie postarały się wcześniej pozbyć tego kłopotu?“

Dowiedzieliśmy się niedawno z polskiej prasy, że Włoszki, a żony polskich żołnierzy, które także — oczywiście! — miały przyjechać do Wielkiej Brytanii, siedzą teraz w obozie we Włoszech, za drutami kolczastymi. Pomnę, że przed jakimś dziesięciu czy kilkunastu laty zdarzało mi się czytać we Włoszech, na murach, na ścianach domów, na kioskach wielkimi literami wymalowane ostrzeżenie rządu faszystowskiego: „La bestemia è segno d'ignoranza“. Mussolini zakazał Włochom kląć i bluźnić, mniemam jednak, że teraz te biedne Włoszki klą w niebogłosy i bluźnią. Tak oto kończy się mariaż polsko-włoski! W obozie! Za drutami!

Nie wiem jednak, ile z owych Włoszek odbywa ciężę, wiem natomiast, że Polek-matek in spe jest w Bari i Trani około trzydziestu.

Bari... Umarła tam wielka królowa, niesłusznie przez historię skrzywdzona, Bona. Została, według wszelkiego prawdopodobieństwa, otruta, w każdym zaś razie okradziona. Testament jej był sfalszowany. Pisze historyk: „Już po sporządzeniu wymuszonego testamentu, królowa opuszczona została bez przyzwolonej usługi, tak że gdy pić chciała, podawano jej wodę w spódku mosiężnego lichtarza, a gdy trzeba było obetrzeć jej usta, w braku białizny spowiednik obcierał jej swoją własną chustką. W chwili konania, ponieważ nie było kadzielnicy, na dachówce ceglanej rozpalono kadzidło. Po otwarciu ciała i wyjęciu wnętrzności, umieszczono je w brzydkim, potłuczonym naczyniu, które bez żadnych obrzędów chrześcijańskich poniosł na barkach człowiek z gminu do kaplicy zamkowej. Ciało zaś włożono potem do trumny z prostych desek zbitej, na której naznaczono dwa krzyże kawalkiem czerwonej kredy, przeniesiono je do tejże samej kaplicy, również bez żadnego obrzędu chrześcijańskiego, i bez wszelkiej uroczystości, tak że nie można było poznać, czy była chrześcijanką, czy nie, a tylko ubożuchną nędzarką. Zostawiono trumnę w kaplicy bez żadnej strażi z dwiema świecami w lichtarzach mosiężnych, tak że jedna świeca, dopalwszy się, zapaliła trumnę i o mało że ogień ciała nie zajął... a gdy książdz Wiśniewski, poseł króla Zygmunta przybył do Neapolu, znalazł najzimniejsze przyjęcie u wicekróla i u ministrów i najmniejszej cząstki poświęcy wydobyć nie mógł dla sprawienia egzekwii dla zmarłej...“

Tak to umarła, taki pogrzeb miała wielka monarchini, jedna z najbogatszych, może najbogatsza w Europie, a przy tym wspaniałomyślna dobrodziejka miasta Bari. Czy te matki-Polki, czy te dzieci polskie, rodzące się w Bari, nie będą stanowiły w naszych dziejach pozycji, która przypomina słynne „sumy

PRZEGŁĄD PRASY

Już fakt pojawiania się coraz liczniejszych artykułów i studiów na tematy teatralne w czasopiśmie nie tylko literackich świadczy, że zagadnienie teatru jest w dzisiejszej rzeczywistości polskiej tak ważne i aktualne, iż sumienny sprawozdawca nie może go przeoczyć lub zbywać zbyt rzadkimi wzmiankami. A cóż dopiero fakt mnożenia się specjalnych wydawnictw, poświęconych teatrowi! Społeczna rola teatru, kształtującego smak artystyczny i biorącego zarazem udział w kształtowaniu wyobrażeń społecznych — i to bez względu na okoliczność, czy teatr jest „dobry“ czy „zły“ — dostatecznie tłumaczy atmosferę gorącej dyskusji, jaka się toczy dziś wokół teatru w Polsce.

Zygmunt Kalużyński przewiduje w „Pokoleniu“ bliższe już nadziejście „generalnej rozprawy ideologicznej“ w zakresie istoty teatru, wytyka błędy i winy neorealizmu

i wroży teatrowi polskiemu zwycięstwo neoekspresjonizmu, który pod wodzą Bratnego szturnuje już do bram (por. „Odrodzenie“ nr 46). Schodząc z tych wyżyn na grunt bardziej realnych problemów, czytamy artykuł Jana Kosińskiego w „Listach teatru“ (nr 4), trafnie charakteryzujący przerosty inscenizacji i roli reżysera i dekoratora, i szukający drogi wyjścia z omyłek. Neoekspresjonizm? Bliższy on sztuce, niż sztuce. Realizm? Powstaje Musée Grevin. A więc? „Twórczo pojęty realizm“, władający jakąś życiową prawdą. Autor nie objaśnia bliżej swej tezy, bo zresztą, gdyby mógł ją ująć w prawidła, byłby odkrywca jakiego Kolumba. Innego zdania jest Krystyna Grzybowska, która twierdzi („Listy z teatru“, nr 5), że właśnie w krakowskim teatrze im. Słowackiego rozwinął się już „odrębny styl gry, który nazwałabym umiarkowanym realizmem“. Czy nie zbyt pochopna ocena? W wymienionym teatrze chciałaby autorka widzieć „polską Comédie Française“. Byłe nie dla rodzimych cudzoziemców! A że w koncepcjach, tego rodzaju mogą się kryć rozmaite niebezpieczeństwa, dowód w tych samych „Listach z teatru“, w art. Stefana Srebrnego, który wystąpił w hasłem teatralnej „sztuki dla sztuki“ (inaczej jego wywódów interpretować nie podobna). Akcjonat że teatr ma znaczenie społeczne odbiera w znacznej mierze wywód Srebrnego ich naskórkową słuszność, ale nie odbiera im znaczenia symptomu. Jest w ogóle rzeczą charakterystyczną, iż pewne momenty niechętnie nazywa się po imieniu. Najbliższe zasadniczej społecznie kwestii teatru — jego „emigracji wewnętrznej“ — krążył St. R. Dobrowolski („Patrizm na widowienie“, „Teatr“ nr 4): słuszne obserwacje, słuszne rady i wniosek słuszny: ale pytanie, czemu akurat teatr z taką lubością dostraja się do prawej strony naszej rzeczywistości, nie poddane dostatecznej analizie.

Kilka uwag usystematyzowanych: Z czasopiśm teatrolologicznych na pierwszym miejscu trzeba dziś omawiać centralny, stołeczny „Teatr“. W nr 4 Wilam Horzyca „Główna zadania teatralnych kierownictw artystycznych“ widzi w „organizowaniu wyobraźni narodowej“.

W ważnej i potrzebnej ankiecie „O nową recenzję teatralną“ E. Csató skrupulatnie charakteryzuje rozliczne braki bieżącej krytyki teatralnej i roztrąca precyzyjnie „proponuje na dzień dzisiejszy“; W. Melcer żąda od krytyki teatralnej tylko rzeczowej informacji; J. Słotwiński wyzywa się w surowości ocen istotnie zresztą niewesołego stanu rzeczy. Najrozsądniej, jak dotychczas, wypowiadał się w ankiecie Tadeusz Breza, zarówno wówczas gdy wykpiwa żądania przesadnej fachowości od recenzentów na cenzurowanym, jak i w uzasadnieniu uwag, że krytykom krytyków chodzi chyba raczej o recenzję „zróżniczkowaną“ i przystosowaną do rozmaitego typu omawianych utworów dramatycznych niż o enigmatyczną „nową“ (felieton „O recenzji“ drukuje również J. Maśliński w najnowszych „Listach z teatru“).

W Łodzi Państwowy Teatr Wojska Polskiego i Teatr TURu podjęły wspólne wydawnictwo periodyku pn. „Łódź Teatralna“. „pisemka“, jak go wydawcy skromnie określili w patetycznej składni przedmowie. Nr 1 jest uzupełnieniem informacyjnym dwu interesujących prapremier kódkich: M. Borwicz i autor sztuki pisał o „Wielkanocy“. W. Krasnowiecki i autor sztuki o „Starym dworcu“ (podobnie w „Teatrze“ M. Wyrzykowski i autor sztuki o „Penelopie“). Pożytecznym pomysłem są wprowadzone przez Teatr Wojska Polskiego „badania nad zainteresowaniami widzów“, opierające się na odpowiednich kwestionariuszach; pod warunkiem, rzecz prosta, by wyciągane wnioski nie prowadziły drogą hollywoodzką — ustępstw na rzecz gustów najniższych i najgorszych.

O wiele pokaźniejsze niż „Łódź Teatralna“ są krakowskie „Listy z teatru“, z miesięcznika przekształcone niedawno w regularnie ukazujący się dwutygodnik W czasopiśmie tym tematy związane z aktualnymi premierami są tylko punk-

Zygmunt Nowakowski

* Przedruk artykułu, który ukazał się w numerze 32 londyńskiego „Wladomosci“ z dnia 10 listopada 1946 r.

tem wyjścia, czasem marginesem. Z obfitego materiału trzech ostatnich zeszytów (4—6) warto zacytować rzeczowe informacje o współczesnym teatrze hiszpańskim (zupełny upadek, faszyzm wyjąławia głębi sztuki zawsze i wszędzie) i artystycznym teatrze francuskim (od Antoine'a do Anouilha), dalej stale kontynuowane przyczynki do dziejów dawnego teatru krakowskiego (pióra K. Grzybowski), uwagi S. Otwinowskiego o Zawieyskim... W. Horzyca filozofuje o „Orfeuszu”, K. Wyka i Z. Leśnodorski rozprawiają o „Zeglarzu”: objaśniono tu problem, lecz nie wydano sądu, trudno go bowiem sformułować bez przenicowania podszywki zagadnienia, czyli bez ocenienia relatywnych wartości ukazanych „prawd”.

I „Teatr” i „Listy z teatru” posiadają obszerne i cenne kroniki życia teatralnego w kraju i za granicą. U nas sytuacja jest tego rodzaju, iż Warszawa chwali swoje osiągnięcia, Kraków chwali teatry łódzkie i katowickie, Łódź uprzejmie docenia wysiłki Krakowa, z Katowic piszą że Kraków nie ma im czego zazdrościć, a prowincja przeważnie nikt się nie interesuje. Tym większa zasługa „Teatru”, że na te prowincjonalne ośrodki baczna zwraca uwagę. Szkoda za to, że o premierach warszawskich pisze Jan Szcawiej w sposób żywo przypominający krytyczne uwagi „Teatru” w ankiecie o recenzentach.

Wreszcie parę słów o oryginalnej twórczości dramatycznej, o ile znalazła ona miejsce po czasopiśmie (do wydawnictw książkowych ma ona w dalszym ciągu — z nielicznymi wyjątkami — drogę zamkniętą). Na

czołowe miejsce wysunęły się tu dwa utwory Stefana Flukowskiego, pisarza wykazującego dziś w utworach scenicznych największą różnorodność form i poszukiwań, od groteski „Jajka Kolumba”, poprzez realistyczne widowisko historyczne „Soczewica koło miele młyn”, aż po filozoficzne koncepcje „Horyzontu Afrodyty”. Stefan Flukowski ogłosił ostatnio w „Twórczości” piękną sztukę „Chwila królewskiej niemocy” a w „Przeglądzie Artystycznym” rozpoczął druk „Gwiazdy dwóch horyzontów”, sztuki, stojącej w myślowym a do pewnego stopnia i fabularnym związku z „Chwilą królewskiej niemocy”. Z innych ogłoszonych ostatnio tekstów piszący te słowa zachwycił się zwartym, dramatycznym fragmentem Heleny Wielowieyskiej „Upadają Bastyle”. Ogłoszony w „Listach z teatru” fragment „Poprawek do Homera” Jalu Kurka utrzymuje się w tonie jaskrawej i konsekwentnej groteski, która — o ile można oceniać na podstawie jednego fragmentu — jarmarczono vis comica pragnie zastąpić braki myślowe i usprawiedliwić nadmiar parodi.

Wreszcie godzi się dorzucić, że i w prasie codziennej jest jeden dziennik, który otwiera swoje łamy dla publikacji fragmentów dramatycznych, choć cieszą się one, rzecz wiadoma, o wiele mniejszą poczytnością niż proza narracyjna: jest nim krakowski „Dziennik Polski”, który ogłosił już fragmenty sztuk wielu autorów (Bodnickiego, Flukowskiego, Swinarskiego, Świrszczyńskiej, Zawieyskiego i in.).

jaszcz

WŚRÓD KSIĄŻEK

Pamiętnik Instytutu Śląskiego. Seria II. Nr 4. Wincenty Ogrodziński. Dzieje piśmiennictwa śląskiego. Katowice—Wrocław, 1946; str. 213 i 3 nl.

Wincenty Ogrodziński pierwszy drobne szkice na temat literatury śląskiej zamieszczał na łamach „Polonii” już od 1931 r., potem ogłaszał szkice w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, z systematycznie nad „Dziejami piśmiennictwa śląskiego” zaczął współpracować z Instytutem Śląskim w 1934 r., drukując kolejno: studium „Związki duchowe Śląska z Krakowem na przełomie XVIII i XIX wieku” i szczegółowe opracowanie krytyczne poematów Norberta Bęczyka „Stary kościół miechowski” (1936) i „Góra chełmska” (1938), jako tomy „Biblioteki pisarzy śląskich”, „Zarys piśmiennictwa śląskiego” zapowiadany był przez Instytut Śląski już w 1936 r., w serii „Śląsk. Ziemia i ludzie”.

Jeżeli pominiemy próby Józefa Lompy sprzed stu lat, jeżeli uznamy „Studia nad piśmiennictwem polskim na Śląsku do połowy XIX w.” prof. Kazimierza Dobrowolskiego (Katowice 1931) tylko za próbę naukowego zestawienia, co jest na ten temat do zrobienia, a poryw Ludwika Łakomego z 1934 r. ujęcia „Dziejów literatury śląsko-polskiej” (tom I „Piśmiennictwo śląskie przed założeniem Akademii Krakowskiej”) za zupełnie nieudany i przedwczesny, okaże się, że w ostatnich czasach tylko Paweł Musiał przygotowywał się poważnie do podjęcia prac nad zarysem śląskiego piśmiennictwa, ale samodzielne, nowe, bardzo wartościowe wyniki osiągnął przede wszystkim Ogrodziński.

Z prac swych zdał on dokładnie sprawę w 1936 r. w tomie „Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku”, omawiając

w nim zagadnienie piśmiennictwa śląskiego. W sierpniu 1939 r. tom I „Dziejów” był już złożony. Skład uległ jednak zupełnemu zniszczeniu. Praca wydrukowana obecnie powiększona jest o bardzo pożyteczny „Dodatek”, przynoszący wskazówki bto- i bibliograficzne.

Najmniej samodzielny wydaje się rozdział pierwszy „Dziejów”, poświęcony literaturze ludowej, w którym Ogrodziński referuje wyniki badań specjalistów. Już jednak rozdział drugi (Średniowiecze), a potem w większej jeszcze mierze następne (Epoka humanizmu, Reformacja i kontreformacja, Epoka Lompy i Stalmacha), przynoszą wiele pożytych nowych, nie notowanych dotychczas w dziejach polskiej kultury. Pasja wynajdywania szczegółów jest nawet powodem przeładowania niektórych stron drobiami, utrudniającymi lekturę.

Ogrodziński zajmuje się w „Dziejach” nie tylko Ślązakami, piszącymi po polsku, ale i autorami pochodzenia niemieckiego, działającymi stale lub przejściowo na Śląsku, o ile ich działalność dotyczyła Śląska. Stale podkreśla też Ogrodziński łączność Śląska z innymi dzielnicami Polski, a zwłaszcza uwydatnia wpływ Krakowa na rozwój śląskiego piśmiennictwa. Zyskujemy też wgląd w zagadnienie, jaki był udział Śląska w polskim piśmiennictwie.

Sposób przedstawiania jasny i rzeczowy. Wydanie poprawne. „Dzieje piśmiennictwa śląskiego” uzupełnione będą niewątpliwie tomem drugim, nie skończonym przez autora, którego opracowanie powierzył Instytut innemu badaczom. W ten sposób zyskamy pełny obraz i bardzo cenną pomoc w nauce polskiej kultury.

Stefan Papée

OPOWIEŚCI LOTNIKA

Janusz Meissner. Żadło Genowefy. Opowieść lotnicza. Katowice, „Awir”, 1946; str. 256. — Tenże. L — jak Lucy. Opowieść lotnicza. II część opowieści „Żadło Genowefy”. Tamże; str. 220 i 4 nl.

Janusz Meissner jest znany jeszcze sprzed wojny entuzjastycznym propagatorem lotnictwa.

Meissner — to przede wszystkim lotnik — lotnik walczący z przestrzenią z burzami a nawet z jakąś urojoną, metafizyczną, wrogą siłą stworzył w czasie ostatniej wojny bezpośrednio niebezpieczeństwa i częste walki wyeliminowały ten ostatni motyw z twórczości Meissnera. Miejsce „licznika z czerwona strzałką” zajęły równie groźne i niebezpieczne messerschmidty.

W obu książkach: „Żadło Genowefy” i „L — jak Lucy” opowiedział Meissner historię swego przedarcia się do Francji — a po jej kapitulacji — do Anglii. Opisał w reportażach walki polskiego lotnictwa w Anglii. Starą się uniknąć przy tym patosu. — Zaznacza to parokrotnie — jednak trudno mu się było ustrzec tego i patos mimo wszystko bije z kart tych książek; patos może nie słów, raczej czynów.

Książki Meissnera mają wielu bohaterów. Są nimi lotnicy dywizjonów bombowych i myśliwskich, są nimi mechanicy wykonujący pracę najcięższą i najniebezpieczniejszą. Każdy rozdział — to osobne dzieje zmagania lotnika z wrogiem — z równie wrogą pogodą (synna mgła angielska). Opisuje w nich Meissner bohaterstwo — ale bohaterstwo skromne i nieefektywne: bohaterstwo obowiązku, zdrowej ambicji i przywiązania do samolotu. Podkreśla nieraz, że są to ludzie zwykli, odczuwający strach — przed wojenną komercyjnością, niżsi urzędnicy czy właściciele prowincjonalnych hotelików. Są romantyczni i ambitni: Góral „leci” na zadanie bojowe, chcąc zaprzeczyć pojeźdżeniom, że usiłuje uchylić się od lotu ze względu na kończącą się turę jego

lotów i ze względu na narzeczoną; Sarat przenosi się na dalekie południowe linie transportowe, ponieważ nie chce wejść w drogę (miłość) koledek przebywających w niewoli niemieckiej. Ludzie ci są prześwietleni serdecznością autora. Konflikty opowiedziane przez Meissnera tracą swą drastyczność dzięki humorystycznemu zabarwieniu i sympatii jaką autor darzy swe otoczenie.

Humor tych książek umiejscowił autor przede wszystkim w postaci Pryszczki, swego przedwojennego szofera. Pryszczki, warszawski cwaniak, uosabia polski — że się tak wyrażę — naiwny — heroizm. Pryszczki, niestrudzenie przedzierający się do Anglii, zestrzeliwujący potem niemieckiego messerschmidta i bijący (przez pomyłkę) wespół z trzema kolegami dziesięciu marynarzy holenderskich — to nieświadomy swego bohaterstwa żołnierz.

Autor posługuje się nim chętnie i często, gdy chce rozładować jakąś bardziej tragiczną sytuację. Czasem nadużywa tej postaci — na przykład zupełnie niepotrzebnie wpalając w jedną z opowieści opowiadanie Pryszczki o balecie. Język Pryszczki jest przestylizowany i wykracza nieraz poza ramy warszawskiej Wiechowej gwary.

Pryszczek w niektórych swoich cechach przypomina... sienkiewiczowskiego Rzędziana.

Książki te pisane na gorąco, zawierają wiele trafnych spostrzeżeń, poczynionych nieraz w samolocie — w towarzystwie przyjaciół — w chwili niebezpieczeństwa pod ostrzałem niemieckiej artylerii. Nie udało się jednak autorowi uniknąć sentymentalności.

Książka Janusza Meissnera, „Żadło Genowefy”, była tłumaczona na obce języki. Spełniła swoją misję propagując udział lotnictwa polskiego w ostatniej wojnie. I to jest książka Meissnera (bo z pewnością „L — jak Lucy” też doczeka się wielu tłumaczeń).

Tadeusz Konwicki

Szkoła krytyków

ROZMOWY

Istnieje pewien pomocniczy środek pracy krytyka, o którym mało się zazwyczaj pamięta. Obcowanie krytyka z utworem nie jest procesem samotnym, odbywającym się bez świadków. Jest procesem sprawdzanym i porównywanym. Każdy z nas próbuje trwałości jego ogniu na cudzych kamieniach probierczych. Temu pomocniczemu środkowi na imię rozmowy. Rozmowy, nie tyle może w samym procesie powstawania sądu krytycznego, ile w jego oczyszczaniu i szlifowaniu, grają ważną rolę.

Dlaczego to piszę? Niejeden krytyk, kiedy na stół w pracowni padają mu książki w ilości większej niż zdolny jest przeczytać, kiedy wokół tych książek zaczyna się gromadzić cała sieć względów i komeraży, jakie będzie musiał obejść pisząc o nich, kiedy wreszcie na tekst książki kładzie mu się cień twarzy dobrze znanego autora, o którym krytyk wiele wie, a z wiedzy tej skorzystać nie może — niejeden krytyk marzy wówczas o samotni. Albo o klasztorze dla krytyków, z regułą podobną jak u Kammedulów: klauzula, osobny domek, zakaz rozmów, piękny pejzaż, bezmięsne jedzenie dobrze wpływające na spokój wtroby.

Oto jak marzył Irzykowski w „Kłopotach krytyka”: „krytyków powinno się zamykać w takich wieżach, aby nie znali osobiście żadnego autora ani aktora i nie potrzebowali się krępować w swej działalności. Pan Minister Oświecenia powinien by ten projekt rozważyć i zrobić z niego ustawę. Zamknięcie w wieży można by zresztą zamienić na wysłanie krytyków na stały pobyt za granicą”.

Mniejsza już o to, że Irzykowski nie odpowiedział, w jaki to sposób zamknięty w wieży krytyk będzie chodził do teatru: czy będą go tam z całą wieżą przywozić, czy też może teatr będzie przyjeżdżał do eremu ze wszystkimi swymi pokusami? Ta mała utopijka prześlepia pewne nalogowe fakty. Pierwszą myślą każdego z nas po przeczytaniu książki jest pójść do przyjaciela, wpaść do kawiarni, pozostać dłużej po obiedzie w stolówce, i — gadać. Dzielić się wrażeniami, porównywać, sprawdzać, klócić się. Na jedną recenzję wypada setka rozmów. Życie literackie jest niczym ustawiczna przerwa w teatrze: jeszcze podnioszą kurtynę, jeszcze się autor kłania, a wybiegamy z sali wśród pytań: i co ty na to? jak ci się podoba?

Krytycy zamknięci w klasztorze albo wymyśliliby natychmiast nową regułę polegającą na obowiązkowej dyskusji dziesięć godzin na dobę, a silentium tylko podczas snu, albo zdziwaczeliby, przemawiając do siebie, do stołu, do ramy okiennej. Nie tylko krytycy! Z każdym z nas stałoby się to samo w pustelni zatłoczonej książkami. Rozmawiać trzeba. Ale rozmawiać nie wystarczy. Do tego zaś sądu zmierzam.

Rozmowa bywa koniecznym środkiem pomocniczym, ale nie jest dobrze, jeżeli rozmowa staje się wyłącznym środkiem zastępczym krytyki. Tak zaś dzieje się coraz częściej w naszym życiu literackim. Kto ma możliwość porównywania tego, co się mówi w zamkniętych kołach pisarzy, kibiców czy zwolenników, a tego, co do druku przecieka, zgodzi się z moim przekonaniem, że mówi się ostrzej, ciekawiej i szerzej, a pisze dużo łagodniej, bardziej blado i grzeczniej. Wbrew temu, co się przypuszcza, obecny styl niedobitków krytyki literackiej jest bez porównania łagodniejszy od stylu krytyki międzywojennej. Zastrzyście do roczników czasopism przedwojennych. Dużo by mówić można o powodach tego zjawiska. Są między nimi chwalebne, ale w większości są też motywy nie do przyjęcia. Tylko rozmowy pozostają jeszcze, ale też nie zawsze, ostrzejsze i bardziej szczerze. I dopóki pisany styl dzisiejszej krytyki nie nabierze trochę rumieńców od stylu mówionego, póty będzie laurowo, ciemno i nudnawo.

Kogoż nie zbiera pokusa, kiedy samotny siedzi w swoim pokoju, by móc jak ów diabeł z Lesage'a zdjąć dachy, wejść niepostrzeżenie do cudzych mieszkai i podłuchać rozmowy. Gadają, gadają — stale o drugich. Zawsze najmniej uświadomiony jest ten, o kim się rozmawia. Tym mniej nieświadomiony, im więcej się rozmawia. Panujący, władcy, ministrowie. Krytyka istnieje po to, by prywatną funkcję rozmowy czynić zjawiskiem publicznym. Jedynie przez jej sito przecieka do delikwenta coś z rozmów. Dlatego stoliki pozostawmy plotkarzom, klasztorzy zakonnikom. Niech co dziesiąta złośliwość prywatna przejdzie do tekstu napisanego, będzie jaśniejsza, choć cudze laury na tym ucierpią.

kjw

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

• CZYTELNIK •

JUŻ NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

ARKADY FIEDLER

KANADA PACHNĄCA ŻYWICĄ

STRON 246

CENA: 250 ZŁ

ARKADY FIEDLER

ZWIERZĘTA Z LASU DZIEWICZEGO

Z ILUSTRACJAMI

J. WRONIECKIEGO, A. NIEMCZEWSKIEJ I R. PRZYBYSZEWSKIEJ

STRON 146

CENA: 200 ZŁ

BIBLIOTECZKA MŁODEGO CZYTELNIKA
• PRZEKŁADY Z LITERATUR OBCYCH

TOMIK 1

ARKADY GAJDAR

TIMUR I JEGO DRUŻYNA

STRON 90

CENA: 75 ZŁ

LEON KRUCZKOWSKI

KORDIAN I CHAM

WYDANIE PIĄTE

STRON 288

CENA: 240 ZŁ

ANTONI SŁONIMSKI

WYBÓR POEZJI

Z PORTRETEM AUTORA

STRON 198

CENA: 240 ZŁ

ST. JODŁOWSKI I W. TASZYCKI

ZASADY PISOWNI POLSKIEJ I INTERPUNKCJI

ZE SŁOWNIKIEM ORTOGRAFICZNYM

WYDANIE PIĄTE

STRON 207

CENA: 80 ZŁ

BIBLIOTECZKA MŁODEGO CZYTELNIKA
TOMIK 7

WANDA WASILEWSKA

SKRZYDŁA U RAMION

OPOWIADANIE

STRON 35

CENA: 30 ZŁ

„FANTAZY” W TEATRZE IM. SŁOWACKIEGO

I

Wybitny walor tego przedstawienia to mowa aktorów. Wytrzebiono z niej deklamatorstwo, związane ją z charakterami postaci. Błędnie charaktery ujęto, to inna sprawa, ale sam zamiar uwolnienia mowy aktorskiej od naleciałości estradowego recytowania poezji zasługuje na uznanie, bo otwiera jedną z dróg, na których wiersz poetycki ma otrzymać właściwą funkcję sceniczną.

Oczywiście zdobycza ta jest zasługą arcy mistrza mowy, Osterwy, którego profesorska batuta kierowała głosami. On sam daje na usługi swego Fantazego (błędnie pojętego) mowe, która — sama dla siebie — wznosi się na szczyty mowy aktorskiej. Wiersz ma u niego bieg wspaniały, całkowicie wolny od nieznoszonego rytmu mechanicznego, finezyjnie podporządkowany rytmowi bardziej złożonemu, głębiej muzycznemu, uczuciowo i myślowo prawdziwemu. Treściowa budowa wiersza osiąga linie klarowne dzięki idealnym różnicom w naciskach słów, w tempach, w pauzach.

Uznając w zasadzie antydeklamatorstwo jako walor przedstawienia, nie możemy jednak przeoczyć, że w danym wypadku musi mieć ono granice i to szczególne, bo nie można antydeklamatorsko traktować... deklamatorów życiowych, a właśnie u Fantazego i Idalii występuje deklamatorstwo jako znamienity rys charakterów. Wobec sprzeczności między zasadą a danym wypadkiem coś czyni Osterwa? Unikając przesadnego przejmowania się słowami, daje odwrotność: przesadną obojętność słowną. Deklamatorskość wydobywa nie z ognia, lecz z chłodu. Jego Fantazy mówi tak, jak gdyby go wcale nie obchodziło to co mówi, jak gdyby nie brał odpowiedzialności za to co mówi, jak gdyby w żadną ze swych wypowiedzi nie wierzył, jak gdyby wszystko mówił tylko z habiowskiego zblazowania, ze znudzenia wszystkim. P. Korwin ma moment, w którym — choć nie jest w pełni wygrany — błyska możliwością innego rozważania sprawy: gdy zapowiada że ukaże się Fantazemu w girlandach kwiatów i tęczy gwiazd, uśmiecha się, pragnąc tym uśmiechem zaznaczyć, że będzie deklamowała. Fałszywą mową poetyczną poprzedza sygnałem.

Ale ani to co robi p. Korwin, ani to co robi Osterwa, nie wystarcza. Jeśli Idalia i Fantazy nie deklamują słów, powinni deklamować inaczej, powinni deklamować całym swoim sposobem bycia. Jest to bardzo trudne, wymaga bogactwa gry, a przede wszystkim... zrozumienia autora.

II

Autora nie zrozumiemo. Trudno o to winić wyłącznie teatr, skoro nie dopisali komentatorowie literacy. Utwór Słowackiego, zresztą nie tylko ten, krwawi i jęczy od ran zadanych mu nawet bardzo pieśniami. We „Fantazym” dzieje się zgola o innego niż to rozgłaszają rozprawę, monografię, wstępy do popularnych wydań. Ale gdyby ktoś chciał tu wskazywać na względność wszelkich interpretacji, to i tak trzeba stwierdzić, że są w utworze miejsca, których sens nie może ulegać wątpliwości, i te powinien być teatr ująć i odpowiednio interpretować.

Przykład: Zaraz na samym początku utworu, czekając z Rzecznikiem na przybycie Respektów, zapowiada Fantazy, że będzie udawał głupiego, że będzie robił minki wstydlivej panny; i rzeczywiście całe jego zachowanie się w pierwszych scenach jest realizowaniem tej zapowiedzi. U Osterwy ani śladu tego. A przecie aktor tak wysokiej klasy jak on powinien być wyczucie, jaka wartość teatralna tkwi w tych głuptaskowatych grach wyrafinowanego światowca i jak interesująco mogą one wzbogacić kreację aktorską. Gdyby ich nawet nie pojmować w związku z cynizmem, z jakim Fantazy traktuje małżeństwo z Dianną, to przynajmniej niech będą podane jako kaprys fantasty, ale niech będą podane, bo taka jest myśl autora, myśl znakomita. Rażące przeoczenie Osterwy to nie przypadek. Aktorzy, komentatorowie, nawet poeci (Przybóś!) nie pojmują jeszcze dostatecznie ważności wszystkich słów autora „Fantazego”. Krytykując poezję Bohdana Zaleskiego wypowiedział Słowacki zdanie, że „wielcy poeci piszą tak, aby najciszejszy rozbiór wytrzymać mogli”. Tak właśnie pisał on sam. Trzeba wierzyć w ważność wszystkich jego słów, trzeba ich treść podawać najciszejszemu rozbiorowi, a wtedy ukaże się pełna ich wartość. Szczególne względy teatralne mogą

czasem usprawiedliwiać reżyserskie określenia, ale bólem przejmują przeoczenia, gdy dotyczą świetnych teatralnie partyj utworu.

Jeśli miejsce, — tak jasne i tak znakomicie dające się wykorzystać dla wzbogacenia kreacji — w ogóle dla Osterwy scenicznie nie istnieje, to cóż dopiero mówić o miejscach mniej jasných, o subtelnościach mniej widocznych! Ostatecznym wynikiem nieprzeniknięcia tekstu jest kreacja nie tylko błędna, ale niewyrazista, monotonna, uboga.

Marmowanie bogactw tekstu okaleczyło wszystkie bardziej złożone postaci. Nie można mieć pretensji do p. Korwin, że nie zdobyła się na samodzielne przeniknięcie komplikacji Idalii, ale podnieść trzeba pretensje pod adresem p. Filusa, że zagubił tak bijący w oczy rys Majora, jak jego dobroduszną żartobliwość. P. Opaliński całkowicie zamazał osobowość Respekta, którą cechuje przede wszystkim połowiczność. Wszystko, co w tym człowieku jest, jest tylko do połowy. Scenicznymi jego wyrazami powinny być napoczynane a niekończące uśmiechy i powagi, wesołości i smutki, nawet jego gesty powinny być pół-gestami. Wielość i zmienność przejawów psychicznych powinien mieć Respekt w znakomitej scenie, której tematem jest pies i córka. Wchodzi wystraszony, drżący, i rzuca się na Fantazego z uściskami, w których jest tragikomiczne przeproszenie za śmierć psa, z uściskami błagalnymi, w pewnej chwili węzowo zaduszającymi i tak dotkliwymi, że ścisłany traci oddech i zmuszony jest wypłatywać się. Słowa Respekta, wyrażające ból nieproporcjonalny do nikłej straty jaką jest dla bezuczuciowego Fantazego strata psa, mają tony półśmiesznej rozpacz, półśmieszne są też łzy, które rzekomo rodzi współczucie, a w rzeczywistości strach przed gniewem zbawcy zagrożonego majątku. Gdy przechodzi do sprawy matrymonialnej, którą traktuje pół-dowcipnie a pół-poważnie, kołysze się na nogach, przejawiając tym charakterystycznie tragikomiczność swego sposobu bycia. Z tej obfitości i różnorodności scenicznych momentów nie wydobył p. Opaliński nic.

Mniej złożone postacie wypadły lepiej. Komedijowe rysy Respektowej uwzględniła umiarkowanie p. Zieliń-

ska, Diannę — gdyby nie pomyłki reżyserii — mogłaby dać p. Rysiówna bardziej ekspresyjnie, Stella otrzymała od p. Śląskiej niemal wszystko co zawiera rola, ks. Loga p. Michutowicza jest w pierwszej połowie wystąpienia bez zarzutu, lokaj p. Niewęgłowskiego wolny jest od szablonu. Wyróżnienie należy się p. Mroźewskiemu za bezradność i zmęczenie, z jakimi porusza swego Jana w środowisku, które nie jest jego środowiskiem. Zastrzeżenie: gdy Jan mówi księdzu, że pierścionek, który mu wręcza, skradł, p. Mroźewski niesłusznie pada na ziemię i łka. Jan, nie chcąc zdradzić tajemnicy ślubów, jakie złączyły z nim Diannę, kłamie, że pierścień pochodzi z kradzieży. Szczegół ten charakteryzuje stosunek Słowackiego do wszystkich postaci we „Fantazym”. Nie ma w tym utworze charakterów nieskalanych białych. Nawet ludzie, postawieni na moralnej wyżynie, jak Major i Dianna, nie są bez plam. Jan, rewolucjonista bez skazy, otrzymał tę jedną plamę, że nie wyklucza kradzieży przynajmniej kłamanej. Tego rysu nie oddaje padanie na ziemię i łkanie. — Rzecznicki p. Białkowski jest początkowo w zupełności właściwym konturze, ma chwile znakomite, ale odkał spada na niego własny dramat, zachowuje się tak, jakby miała rację pomniejszająca jego wartość Idalia, a ona nie ma racji. Rzecznicki jest rzecznikiem rzeczywistości i rzeczywistości, ma w sobie ogólnie uznaną prawdę i ogólnie uznaną moralność, więc gdy los strąca na niego nieszczęście, cierpi i wyraża cierpienie prawdziwie jak człowiek z ogółu, i tym właśnie stwarza miarę, która uwypukla karykaturalne cierpienie Idalii i Fantazego.

III

Niezgruntowanie utworu musiało odbić się także na reżyserii. Sceny następują po sobie nie tworząc wyrazistego układu. Nie rozwijają tematów, nie ustanawiają zasadniczych ośrodków myślowych. Tylko w drugiej połowie ostatniego aktu wyczuwa się intencję ześrodkowania przebiegów scenicznych, ale zamysł swój wykonuje Osterwa zbyt operowo, odbierając wypowiedzi Majora to, co ją najbardziej charakteryzuje, i to co w niej najbardziej wzrusza: prostotę.

Reżyser zdawał sobie sprawę z monotonii, jaka grozi całemu przedstawieniu, skoro nadużył zakulisowych śpiewów i zakulisowej muzyki fortepianowej. Nie byłby do tego zmuszony, gdyby nie zmarnował bogactw utworu lub przynajmniej ocalał jego elementy komizmu.

W szczegółach znać nie tylko troskliwość, ale i poszukiwanie nowych rozwiązań. Głębsza myśl rządzi łączeniem figur i ich rozłączaniem. Dla zdań mówionych „na stronie” czy „do siebie”, zawsze znajduje Osterwa jakiś układ sytuacji lub układ ciała, dzięki którym wypowiedzi te uzyskują naturalność.

Najslabszą stroną Osterwy jako reżysera są niedomogi w komponowaniu grup zbiorowych.

IV

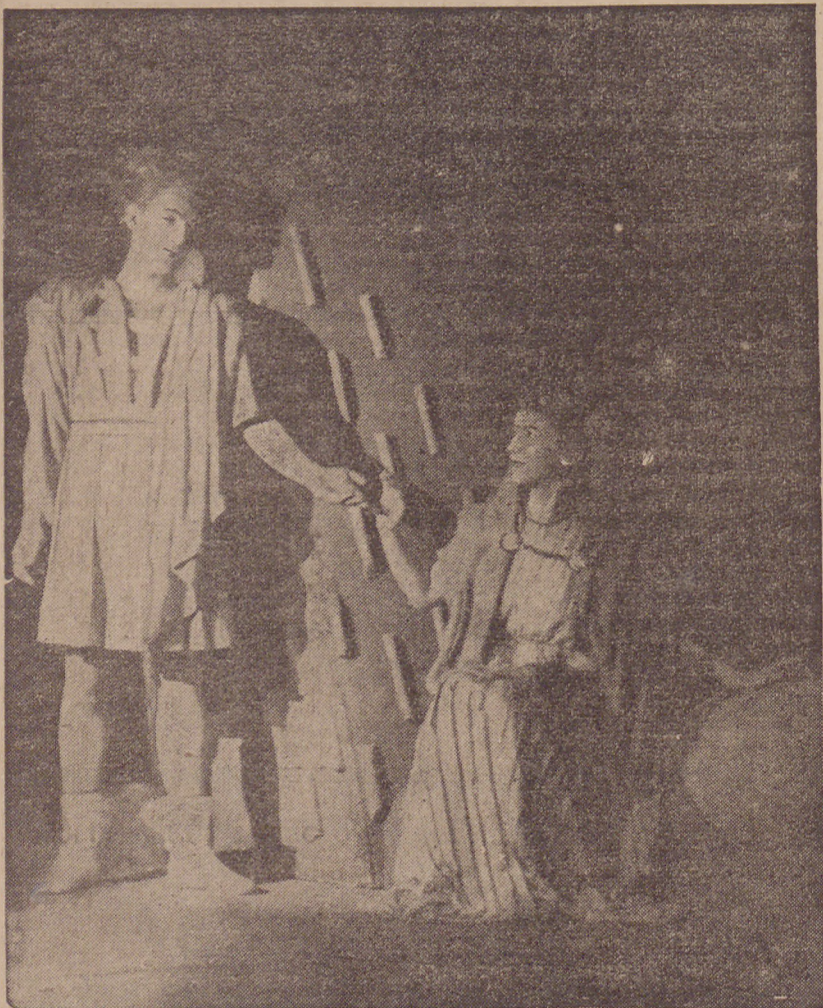
Nowoczesne zdobycze plastyki scenicznej umożliwiają osadzenie dramatu Słowackiego we właściwym środowisku rzeczy. Wyimkami wnętrza czy krajobrazów można każdorazowe miejsce akcji scharakteryzować w tym właśnie stopniu, jaki jest potrzebny. Teisseyre nie stosuje wyimków, stosuje parawany tak jak gdyby ich rola ograniczała się tylko do tego, by dawać dolne odciany dawnych całkowitych ścian scenicznych. W dodatku we wszystkich odsłonach powtarza się jednostajnie jeden schemat budowy, którego podstawę tworzy linia poprzeczna ujęta z obu stron mniejszymi liniami skośnymi.

Poza tym obrazy sceniczne Teisseyre'a grzeszą brakiem charakteru, czego drobnym ale jaskrawym przykładem może być płaskorzeźba, jaką umieścił w salonie Respektów, płaskorzeźba obca klasycyzmowi końca XVIII w., więc tej epoce artystycznej, w której tkwią Respektowie. Wada, którą Teisseyre dzieli niemal ze wszystkimi naszymi plastykami scenicznymi, pochodzi z błędnego ograniczania piękna scenicznego do przyjemnych kolorów i kształtów, a przecie ściany wnętrza powinny nosić na sobie ślady współzycia z ludźmi, partie ogrodowe ślady ich upodobań.

Spełniają na ogół taką funkcję kostiumy Rzeckiego, ale kostiumom, którymi okrył Idalię, trzeba zarzucić niezgodność z głębszymi wymogami tekstu.

Tadeusz Peiper

„ORFEUSZ” ŚWIRSZCZYŃSKIEJ W KRAKOWIE



W Teatrze Starym w Krakowie jest obecnie grana sztuka A. Świrszczyńskiej „Orfeusz”. Na zdjęciu ZBIGNIEW PRZERADZKI (Hermes) i HALINA MIKOŁAJSKA (Eurydyka)

KOMUNIKATY

Konkurs na powieść dla młodzieży

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” ogłasza konkurs na powieść dla dzieci w wieku 10—15 lat. Objętość powieści winna wynosić 8—15 arkuszy druku. Nagrody: pierwsza 80.000 zł, druga 40.000 zł, trzecia 20.000 zł. — W skład jury wchodzi: Stanisław Aleksandrak, Stefan Babiński, Maria Gutry, Kazimiera Jeżewska, Jan Szczawieł, Tomasz Szczuchura, Józef Włodarski. „Nasza Księgarnia” zastrzega sobie prawo pierwszeństwa drukowania nagrodzonych i wyróżnionych utworów.

Słowiańska księga pamiątkowa byłych więźniów politycznych

Grono byłych więźniów politycznych obozu w Sachsenhausen, które w latach 1941—1944 tworzyło tam Konspiracyjną Frakcję Zbliżenia Młodostowian, zamierza wydać słowiańską księgę pamiątkową byłych więźniów politycznych. Ogłoszona w związku z tym ankietą zawiera następujące punkty:

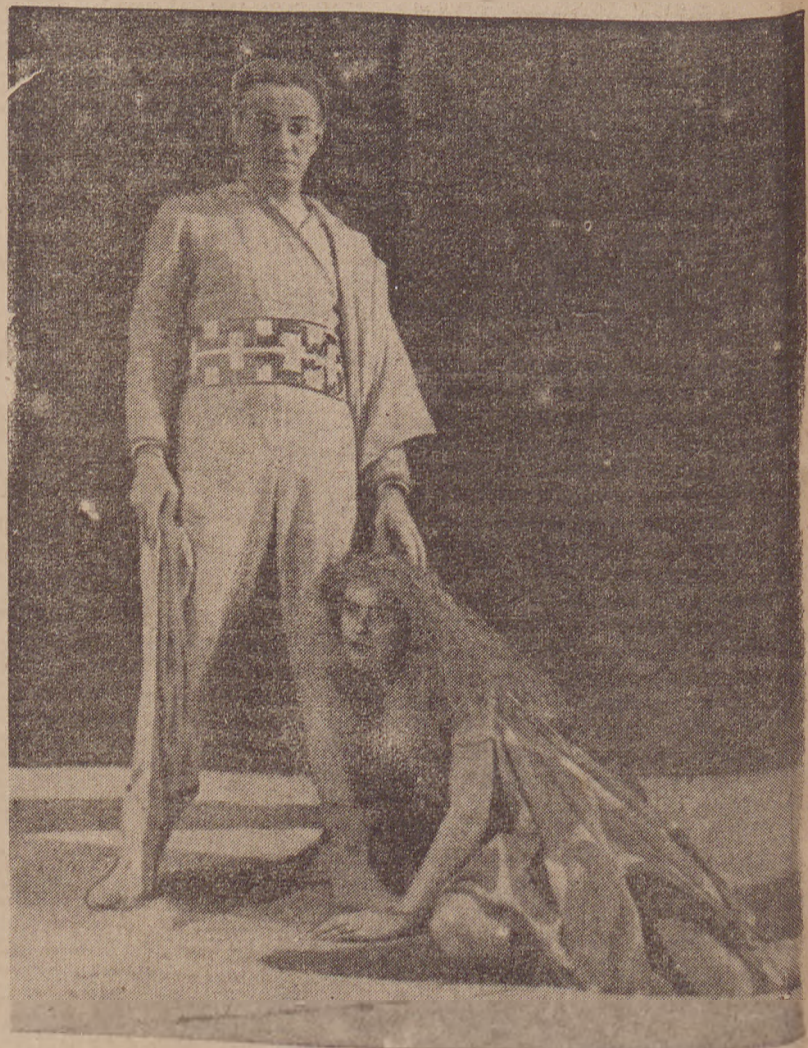
- 1) moje pierwsze zetknięcie z innymi Słowianami w obozie i poprzednio;
- 2) jakie skłonności do zjednoczenia — a jakie dążenia rozbieżne zauważyłem u Słowian (na tle doświadczeń obozowych)?
- 3) kiedy i w jaki sposób nastąpił u mnie moment uświadomienia sobie jedności wszystkich Słowian?
- 4) jakie inne doświadczenia nabyte w niemieckich obozach koncentracyjnych uważam za znamienne dla przyszłości Słowian?

Odpowiedzi należy nadsyłać na adres: Aleksander Kulisiewicz, Kraków, Collegium Novum, do dnia 31. III. 1947.

Salon zimowy w Radomiu

W dniu 15 grudnia nastąpi w Radomiu, w salach Muzeum Miejskiego, otwarcie „Dorocznego Salonu Zimowego” 1946/7 Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Radomiu. — Zaproszenia do wzięcia udziału w wystawie zostały skierowane do wszystkich oddziałów Z. Z. A. P. — Przewidziano nagrody za najwybitniejsze prace artystyczne. Skład jury zostanie ogłoszony w „Przeglądzie Artystycznym” po otrzymaniu wszystkich zgłoszeń. Termin nadsyłania prac upływa dnia 3 grudnia. Ilość zgłoszonych prac nie może przekraczać 3. Prace należy nadsyłać po poddaniu ich jury swego związku.

„ORFEUSZ” ŚWIRSZCZYŃSKIEJ W KRAKOWIE



TADEUSZ BIAŁOSZCZYŃSKI (Orfeusz) i WANDA KRUSZEWSKA (Aglae)